[Marceli Antoni Szulc]

PRZYGODA CHOPINA.

Opowiedział

WEDŁUG NIEMIECKIEGO ORYGINAŁU

autor dzieła

„CHOPIN I UTWORY JEGO MUZYCZNE.“



POZNAŃ.
M. LEITGEBER I SPÓŁKA.
1876.

PRZYGODA CHOPINA.

OPOWIEDZIAŁ

WEDŁUG NIEMIECKIEGO ORYGINAŁU

AUTOR DZIEŁA

„CHOPIN I UTWORY JEGO MUZYCZNE".



POZNAŃ.
M. LEITGEBER I SPÓŁKA.
1876.

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.
854
NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

SŁOWO WSTĘPNE.

Pociągająca, sympatyczna, pełna uroku postać Chopina stała się od niejakiego czasu przedmiotem beletrystyki francuzkiéj i niemieckiéj. W wyszłéj przed trzema laty pracy: „Chopin i utwory jego muzyczne“ podaliśmy krótszy tego rodzaju urywek pod napisem: „Trzy salony“ przedstawiający trzy chwile z życia artysty. — W miesiącu lipcu rb. wpadło przypadkiem w ręce nasze czasopismo niemieckie drugorzędne, w którém znaleźliśmy dosyć udatne opowiadanie o tym wielkim artyście jakie poniżéj w wolnym przekładzie podajemy czytelnikom.

Jakkolwiek wręcz przeciwni tłumaczeniom ladajakich często płodów obcéj beletrystyki, które prasie krajowéj formalnym grożą zalewem, tą razą od przyjętéj zasady odstąpiliśmy, nasamprzód dla tego, że rzecz się tyczy naszego wieszcza-rodaka, a tém samém i u nas bliższe zajęcie wywołać zdoła i powinna. Nie zawadzi przecież

poznać, co piszą muzykalni par excellence Niemcy o naszym bardzie narodowym, jak postać jego odtwarzają, jak go oceniają nie tylko jako artystę, ale i jako człowieka, mianowicie dziś, gdy przeszło ćwierć wieku upłynęło od przedwczesnego zgonu jego, a bezpośredni czar i urok, jaki wywierały arcymistrzowskie, nieśmiertelne utwory jego w chwili swego ukazania się na współczesnych, ustąpił chłodniejszemu sądowi i więcéj przedmiotowemu zapatrywaniu potomności. Prócz tego osoby wchodzące w tok naszéj powieści po części żyją jeszcze, po części żyły niedawno i wielu starszym czcicielom naszego wieszcza z bliska i dokładnie są znane. Wszystkie liczyły się do grona osób zostających z Chopinem w ściślejszéj lub dalszéj znajomości. Trafne, jak nam się zdaje, skreślenie charakterów i wierne sportretowanie osób grupujących się około głównéj postaci naszego poety-muzyka było nam drugim powodem do podjęcia niniejszego przekładu, odstępującego jednakże tam od oryginału, gdzie nam się to wydało stósownem lub koniecznem. Jedno atoli i to uroczyste zastrzeżenie zrobić nam wypada. Niech nam nikt nie czyni zarzutu, jakobyśmy w poniższém opowiadaniu chcieli podać nowy, nieznany dotąd materyał do życiorysu artysty. Przez myśl nam to nie przeszło. Sprawdzić opisane w téj powiastce zdarzenia było niepodobieństwem i dla tego za nie najmniejszego nie dajem poręczenia, lubo niemiecki jéj autor w domówieniu nadmienia, iż o skreślonych wniéj wypadkach, które długo wścisłéj chowano tajemnicy, dowiedział się daleko późniéj od jednéj z osób, które w nich czyn-

ny wzięły udział. Zaręczenie to nie wystarcza, by nadać faktom poniżéj opisanym barwę wiarogodności. Druga połowa życia Chopina, przepędzona zdala od kraju rodzinnego, prawdopodobnie wiecznie dla nas pozostanie tajemnicą. Szkoda zaiste niepowetowana! Może jeszcze dziś nie czas uchylić zasłonę, chociażby potrzebny do skreślenia zupełnego obrazu żywota Chopina materyał był pod ręką; ale jakże wątleje nadzieja uchylenia jéj kiedykolwiek, kiedy ci, co go dostarczyć mogą, milczą upornie, a inni świadkowie życia i towarzysze mistrza jeden po drugim zsuwają się do grobu!

Niech te kilka słów starczą za silną odezwę i błagalną prośbę dla takich, co mogą jednę i drugą dorzucić cegiełkę do budowy, któréj dokonanie wiele jeszcze potrzebuje zachodu i dostawy przeróżnych materyałów, zanim będziemy się mogli poszczycić życiorysem godnym mistrza wielkości i odpowiednim jego rozgłośnéj sławie.

Poznań, 20 listopada 1875.

M. A. S.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W restauracyi.

Było to w roku 1836. Jesienne wichry i niepogody zgromadziły były w stolicy nadsekwańskiéj wszystko, co się tylko liczyło do świata arystokratycznego. Z wód Ostendzkich, z Vichy, Baden-Baden, z zamków i siedzib wiejskich magnaterya, damy, reprezentanci de la haute finance, popowracali i świetne swe salony pootwierali. Opustoszały w lecie Paryż zawrzał znów życiem hucznem i zgiełkliwém; bale, zabawy i wieczorne zebrania rozpoczęły się na dobre.

Pewnego wieczora — zegar był właśnie uderzył godzinę siódmą — młodzian widocznie głęboko zamyślony szybko przechodził przez bulwar Montmartre. — Ubiór jego nie był wyszukany i przesadnie wykwintny, ale

gustowny i elegancki. Delikatne, zajmujące, niemal piękne rysy twarzy jego jaśniały blaskiem niezwykłéj bystrości i rozumu, ale przebijała się w nich zarazem melancholia i smętne zadumanie, a bladość powlekająca to szlachetne oblicze, wiotkość i szczupłość postaci naprowadzały na domysł, — że przechodzień nie najlepszém cieszy się zdrowiem.

Na rogu ulicy Drouot chciał przejść na drugą połać, by zboczyć w ulicę Richelieu; w tamtą przeto stronę zwrócił oczy smętne i marzące; ale zamiaru tego uskutecznić nie było sposobu; natłok bowiem przechodniów i powozów był tak wielki, że o przedostaniu się na drugą stronę pomyśleć nie było można.

By przeto doczekać dogodniejszéj pory, panicz, który na oko mógł liczyć lat najwięcéj 26 lub 27, mimowolnie acz z niechęcią przystanął; na twarzy jego widać było niecierpliwość i rozdrażnienie, wywołane zapewne zgiełkiem ludzi i ogłuszającym turkotem powozów.

Gdy tak stoi zapatrzony na rojących się przed sobą przechodniów i sunące ekwipaże, poczuł, że ręka czyjaś zawisła mu na ramieniu i usłyszał głos sarkastyczny, który tuż przy jego uchu zahuczał: „Mości Panie Fryderyku Chopenie, nie tutaj miejsce puszczać wodze marzeniom!“

Zagadnięty szybko i z przerażeniem się odwrócił;

lecz skoro ujrzał chudego, dość niedbale ubranego jegomości o długim, zapuszczonym, w nieładzie na kołnierz spływającym włosie, z obliczem, w którém się genialność silnie przebijała, z ironicznym na ustach uśmiechem: schwycił dłoń sympatycznie podaną i ochłonąwszy z chwilowéj konsternacyi odezwał się radośnie: „Ach, kochany panie Berlioz, mistrzu bezładnego chaosu, na Boga zmiłuj się i naucz mnie znosić ten hałas piekielny, ten zamęt, przypominający naszą polską Łysągórę. Słowo ci daję, że zawsze odchoruję i w mizantropią popadam, ile razy się tylko wychylę na ulice nasze paryzkie.“

„O szczęśliwy mój idealisto!“ odparł drugi. „Jakże Panu pozazdrościć trzeba! Nienawidzisz tę sforę, którą nazywamy ludzkością, wtedy tylko, kiedy wrzeszczy i hałasuje; ja zaś i wtedy, kiedy się łasi i przymila. Ale cóż tam tobie, gagatkowi salonów i pieszczochowi księżniczek, gadać o pogardzie tego świata, który wtedy tylko pokazuje się w swéj prawdziwéj postaci, kiedy jest cynicznym i instynktów zwierzęcych słucha! Otóż widzisz, i ja mam powody tęsknić za samotnością; i ja jéj nierozsądnie kiedyś szukałem, by walczyć sam na sam z swym smutkiem; lecz teraz się wyleczyłem, teraz jak nurek, na oślep się rzucam w powódź życia towarzyskiego; walczę z tym potworem, co się zowie opinią publiczną, walczę dopóty, dopóki go nie owładnę, dopóki

nie odprawię wjazdu tryumfalnego jak Arion na swym delfinie. Czego nie dokaże moja muzyka, to sprawię jako krytyk mém obosieczném piórem. Ale dajmy temu pokój!“

Hektor Berlioz, genialny reformator instrumentacyi, słynny feletonista żurnalu des Débats, gazety muzycznéj i innych pism czasowych, wymówił był ostatnie słowa z goryczą i cierpkim sarkazmem. Potém bez ceremonii pochwyciwszy Chopina za ramię, który zapewne przyzwyczajony do manier sans façon sangwinicznego kolegi, wcale się temu nie zdziwił, w swém ożywieniu tak daléj prawić począł: „Dokądże teraz pójdziemy? Serdeczniebym żałował, kochany p. Chopin, gdybym ci przeszkodził w utworzeniu prześlicznego mazurka albo przegrywki jakiéj, któremi sypiesz jak z rękawa. Boć przyznaj się, żeś wtedy komponował, gdym cię zdybał marzącego o niebieskich migdałach i zapatrzonego na pêle-mêle albo raczéj na błocko uliczne! Co? Wybacz mi! Możem uśmiercił jaki rozkoszny mazur, alem za to tobie życie ocalił, bo nie komponuje na bulwarze Montmartre, kto nie chce być przejechanym albo dostać się pod końskie kopyta. Teraz przejść można. Dokąd chciałeś pójść, p. Chopin? Coś mi się wydajesz strasznie małomównym i w sobie zamkniętym.“

Chopin apatycznie się uśmiechnął.

— Hrabina d'Agoult ma dzisiaj swój jour fixe,

(odparł). Musiałem jéj dać słowo, że przyjdę. Wszakże pan znasz hrabinę? Pod pseudonimem „Daniel Stern“ wyrobiła sobie w literaturze imię dość rozgłośne.

Berlioz parsknął śmiechem.

— Czy myślisz, kochany p. Chopin, żem swój czas od zatrudnień wolny przepędzał w katakumbach paryzkich, aby tam się oddawać infernalnym studyom? Moi przeciwnicy wprawdzie takie pogłoski na seryo o mnie puszczali, ale szczerze ci wyznam, że piękna i czarująca hrabina d'Agoult już Berlioza w swych salonach przyjmowała, kiedy jéj się ani śniło przepadać za panem Fryderykiem Chopin.*)

Chopin zarumienił się jak dzieweczka.

— Mylisz się pan (przerwał). Hrabina jest tak wielką Liszta wielbicielką....

— A zatém dla dwóch jéj serduszko bije? rzekł z przekąsem Berlioz. I pan to znosisz?

Chopina twarz przybrała wyraz rozdraźnienia.

— Kochany panie Berlioz! rzecze, dajmy tym żartom pokój! Hrabina i ja jesteśmy od siebie dość zdala a moja z nią znajomość datuje się dopiero od jéj powrotu z Szwajcaryi!

— Prawda, prawda! Była latem w Genewie i Liszt

*) Hrabinie d'Agoult dedykował Chopin drugą seryą swych przedziwnie pięknych etud (dwanaście w dwóch zeszytach).

tam z nią bawił*), prócz niego Decandolle, książę Belgiojoso, pani George Sand. Pisał mi wtedy Liszt, że żyje jak w raju wśród cudów przyrody alpejskiéj i zachęcał mnie, abym go w Szwajcaryi odwiedził. Ale jakże tu jechać, rzekł Berlioz marszcząc czoło, kiedy nie ma de quibus? Przypięła się do mnie nędza tego życia, jak pijawka, i muszę tu wiecznie po ukazu bazgrać feletony, byleby jako tako wyżyć. Niech takie życie wszyscy djabli porwą! Jedyna satysfakcya, jaką mi moja autorska karyera przynosi, jest przeświadczenie, że pozostaję w usłudze tego, co wielkie, piękne i szlachetne, jako téż odrobina nadziei, że i ja kiedyś może (tu się Berlioz ironicznie uśmiechnął) na swoim delfinie tryumfalny wjazd odprawię. Teraz przejdźmy do czego innego. Ale na Boga tylko, kochany Panie, odemnie nie wymagaj, ażebym z tobą do hrabiny poszedł. Jestem dzisiaj w takim humorze, iżbym cały świat w szklance wody utopił. Wierzaj mi, że nie byłbym cię na ulicy zaczepił, gdybym na twéj twarzy nie był widział marsa, zdradzającego nastrój duszy odpowiedni memu. Poświęć mi, łaskawco, z jaką godzinkę. Do hrabiny d'Agoult jeszcze będzie dość czasu. Będziemy pospołu daléj zbijali bruk paryzki, a jeśli kogo takiego spotkamy, co

*) Późniéj wydał Liszt cykl pięknych fantazyi pod tytułem (jeśli się nie mylimy) Souvenirs de voyage.

mu demon hypokondryi jeszcze więcéj dojmuje niż nam, może nas jego widok z naszego splinu uleczy.

— Niech i tak będzie! rzekł Chopin z uśmiechem. Ale tymczasem możeby lepiéj było wstąpić gdzie do jakiéj restauracyi na kapeczkę.

— Sok winogradowy, odparł sentencyonalnie Berlioz, bywa wprawdzie pociechą tylko dla dusz słabych, aleć i my dzisiaj jakoś nie poczuwamy się do zbytecznéj siły. A zatém chodźmy!

Po tych słowach artystów para zwróciła swe kroki ku bulwarowi des Italiens.

A teraz słów kilka o jednym i drugim.

Fryderyk Chopin. Komuż z rodaków na dźwięk tego nazwiska serce żywiéj i radośniéj nie zabije! Jego imię jest chlubą, zaszczytem, rozkoszą i ozdobą ziemi, która go zrodziła. Już jako dziecina mała zajaśniał niepospolitym blaskiem geniuszu, a uzyskawszy w ks. Antonim Radziwille nie tylko opiekuna i mecenasa, ale i prawdziwego przyjaciela, dał się poznać w stolicy polskiéj z niezwykłego, bezprzykładnego u nas dotychczas talentu kompozycyi i improwizacyi. Zaprzyjaźnieni z nim XX. Czetwertyńscy, rówiennicy jego, wprowadzili go do salonu swéj matki, jednego z najświetniejszych podówczas w Warszawie; niebawem rozniosła się jego sława tak nagle, iż go sobie na wyścigi niemal wyrywano. Kilka kompozycyi, jak rondo pierwsze, rondo à la Mazur,

jeden i drugi koncert, fantazya na śpiewy polskie, pierwsza wiązanka mazurków i kilka piosnek wyniosły go na szczebel pierwszorzędnego kompozytora u swoich; podróż do Wiednia i La ci darem zapewniły mu sławę u postronnych. Z małego genialnego chłopczyny wyrósł wkrótce wśród uwielbień i podziwu na wielkiego artystę. Wybuch powstania listopadowego, tego smutny koniec i nieprzejednana nienawiść do tyrana północy wygnała go z kraju i zawiodła biednego wygnańca do Paryża. Dom księstwa Czartoryskich zapoznał go ze wszystkiemi znakomitościami społeczeństwa stołecznego, a kilka koncertów w salonie Pleyela zapewniły mu żywe i zupełne uznanie znawców i krytyki, z uniesieniem witającéj czarowne melodye, które ze złotostrunéj gęśli jego obfitym zdrojem płynęły. Ulubieniec salonów bożyszcze wychodztwa, zaszczycony przyjaźnią najznamienitszych bardów współczesnych, jak Liszta, Hillera, Szumana, Mendelsohna, posiadał wszystkie szczęścia warunki, a przecież szczęścia nie zaznał. Twórczego ducha potęga kruszyła powoli wątłą lepiankę ciała; nie znał, co to zdrowie. Tęsknił całe życie za krajem, za ukochaną rodziną, marzył o błoniach ojczystych. Ta tęsknota, te zawody podkopywały zdrowie, targały wątłe siły jego. Ztąd występy publiczne stały się dlań niepodobieństwem. Prócz tego i wzgląd na tę okoliczność, że motłoch żądny silnych i ogłuszających wrażeń, nie umiejący podążyć za

Zbiory Stowarzyszenia
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA-NARODOWY BIBLIOTEKA

wzniosłym myśli jego polotem, nie pozna się na subtelnéj grze i mistrzowskich utworach jego, tak daleko od poziomu zwyczajnych kompozycyi odbiegających, do reszty go od koncertów odstręczył. Oddany jedynie mozolnym zatrudnieniom nauczycielskim — wolne od zatrudnień chwile poświęcał małemu kółku osób wybranych, które się na nim poznać i ocenić go należycie umiały.

W czasie, na który opowiadanie nasze przypada, sława wieszcza już była europejską. Szereg najświetniejszych kreacyi, jak etudy pierwszéj i drugiéj seryi, Scherzo, pierwsza ballada, kilka zeszytów mazurów, walc wielki, wszystko w duchu nowéj szkoły pomyślane i poczęte, zapewniły mu jedno z najcelniejszych miejsc pomiędzy nowszymi kompozytorami.

Zupełnie innym, bogatszym w wrażenia i zmienne koleje, acz o wiele ciernistszym był bieg życia Hektora Berlioza. Urodzony w małéj mieścinie departamentu Izery, przybył do Paryża r. 1822, by się poświęcić nauce lekarskiéj. Ale zawód eskulapa mało miał dlań powabu, a sala sekcyjna sprawiała mu wstręt i obrzydzenie. Chodził przeto, jak to mówią, po za szkołę a zamiast ślęczeć nad anatomią, wolał studyować partycye biblioteki konserwatoryum muzycznego. Już bowiem w dziecięcym wieku uczył się muzyki, czerpiąc w niéj najwyższe rozkosze; wyrósłszy na młodziana nie mógł się oprzeć jéj ponęcie. Ztąd poszło, że bez porady rodzi-

ców medycynę opuścił, a udawszy się pod protekcyą profesora Lesueura, dał się zapisać w grono uczniów konserwatoryum muzycznego. Rodzice, posłyszawszy o samowolném postąpieniu Hektorka, wyrzekli się go i odjęli mu dotychczas posyłane pieniężne subsidia. Rozpoczął się dla młodego muz adepta żywot pełen utrapień, nędzy i przykrości. Mieszkał na poddaszach, żywił się tylko chlebem i owocami, obiady jadał po ośm sous, zwykle pod gołém niebem na chodniku mostu Pont-neuf, u stóp posągu Henryka IV. Dawał lekcye za psie, jak to mówią, pieniądze; ale mimo ciągłéj pracy cierpiał niedostatek dokuczliwy. Bo choć komponował po całych nocach, choć płynęły z pod jego pióra kantaty, nawet opery, przecież wszędzie, dokądkolwiek się udał celem publikacyi lub wykonania swych utworów, grzecznie go zbywano mimo wstawień Lesueurà i wicehrabiego Larochefoucauld. Nędza jego doszła do punktu kulminacyjnego a znikąd nie było nadziei ratunku, aż nareszcie został mianowany chóralistą teatru des Nouveautés z pensyą pięćdziesięciu franków miesięcznie. Nowa weń wstąpiła otucha; teraz miał przecież tyle, by kontynuować ulubione studya; ale ciężka choroba powaliła go na łoże i byłby zmarniał zupełnie, gdyby udobruchany ojciec nie był go do łaski swéj przypuścił, dołączywszy cokolwiek grosiwa. Powrócił przeto do pracy przerwanéj, oddał się

ponownie z zapałem kompozycyi i począł nawet ubiegać się o nagrody przez konserwatoryum rozpisywane. Ale cóż? Kompozycye jego jako dziwolągi odrzucano, mianując je niedojrzałemi porodami szalonéj i rozkiełznanéj wyobraźni. Mimo oporu Cherubiniego, dzierżącego pod ówczas ster instytutu, kantata Berlioza Sardanapal nareszcie uwieńczoną została. Uzyskał stypendyum (3 tysiące franków) na lat pięć, z warunkiem, aby dwa z nich na akademii di Francia w Rzymie, trzeci zaś gdziekolwiek w Niemczech przepędził. Atoli Berlioz należał do tych nieszczęśliwych natur, które nigdy i nigdzie miru nie mają, a z niczego niezadowolone własną ręką gmach swego szczęścia druzgocą. Pełen niechęci udał się wprawdzie do Włoch, ale ekscentryczna jego natura sromała się i zżymała na pęta pedantyzmu rzymskiéj akademii. Nie czując się przeto w swym żywiole, przewieszał strzelbę przez ramię, brał gitarę pod pachę i jak błędny rycerz puszczał się w niedostępne i dzikie parowy i zarośla Abruzzów. W górach szukał legowisk bandytów, pił, hulał, śpiewał z nimi, wygrywając im najdziwaczniejsze improwizacye. Potém syt wrażeń wracał do Villa Medici (gmachu akademii), popadał w melancholią, a klnąc, na czém świat stoi, utyskiwał na losy zawistne, na swe nieszczęście i na włoską muzykę, któréj strawić i znieść nie mógł. Nareszcie zebrawszy manatki, wraca do Paryża i przywodzi do sku-

tku wykonanie fantastyczno-demonicznéj symfonii Lelio, swego najnowszego utworu. Ta kompozycya, ułożona we Włoszech w czasie najsilniejszych mizantropii paroksyzmów, zrobiła pewne wrażenie; ale jéj twórca, starający się podążyć za Beethowenem a duszą i ciałem zanadto Francuz, by pogodzić i połączyć z sobą przeciwieństwa pierwiastków obu narodów, pozostał dla Paryżan wraz ze swą „muzyką przyszłości“ istotą zagadkową, dziwaczną, niesympatyczną. Sarkając na to, że się na nim poznać nie umiano, chwyta za pióro, kruszy kopie za powstałą w r. 1832 neoromantyczną szkołą, która muzykę miała pchnąć na nowe tory a za któréj przedstawiciela Berlioz siebie uważał, tak jak Wiktor Hugo za jéj reprezentanta w piśmiennictwie uchodził. Ciągłe utarczki z przeciwnikami i jawną ich nieżyczliwością zatruwały mu żywot; na domiar nieszczęścia i prywatne życie miało się dlań stać kielichem goryczy. Od lat wielu kochał się w Miss Henryecie Smithson, w Paryżu bawiącéj, irlandzkiéj artystce dramatycznéj. Wreszcie powiódł bogdankę do ołtarza. Atoli zamiast w swéj połowicy znaleźć życia pociechę i osłodę, rychło się przekonał, że ma w niéj istną Megerę, drugą Ksantyppę. Pożycie z nią stało mu się wkrótce nieznośném, dom otchłanią piekielną. Scena niesnaski domowéj następowała po scenie, skandal po skandalu. Zapewne owego wieczora, w którym spotkał Chopina,

podobne z magnifiką zajście z domu go wygnało. Jakże był rad przeto, że w Chopinie znalazł istotę sobie pokrewną w zniechęceniu do świata!

Ale wróćmy do przerwanego wątku powieści.

Obaj tak niepodobni do siebie artyści (Chopin bowiem z usposobienia był więcéj arystokratą, Berlioz śmiałym nowatorem i rewolucyonistą) wstąpili do jednéj z modniejszych restauracyi, położonéj na bulwarze des Italiens.

Chopin uparł się koniecznie być amfitryonem. Zamówił przeto wieczerzę nie obfitą, lecz wykwintną z butelką wina i kazał sobie otworzyć salonik w antresolu, by nikt im nie przeszkodził. Wskazano gościom elegancki miniaturowy pokoik, wysłany miękkiemi dywanami, pełen wytwornego komfortu, do którego nasz rodak już za młodu był przywykł, i niezadługo stanęło przed przybyłymi kilka półmisków, nęcących zapachem, i buteleczka starego wina.

Czy to ożywczy sok burgundzkiéj winorośli, czy wyśmienity pasztet z kuropatw, czy poufała gawędka i wymiana myśli o sztuce, dość, że rozeszły się zalegające duszę artystów chmury, i obaj wkrótce najzupełniéj zapomnieli o Bożym świecie i dolegliwościach jego, a tém samém i o własnych utrapieniach.

Już się wieczerza miała ku końcowi, gdy Chopin, którego gawędka, jak rzadko czyja, była ponętną i cza-

rującą (jeśli miał szczerą wolę wypowiedzenia wszystkiego, co miał w duszy i na sercu), wśród zajmującéj rozprawy o jakimś z dziedziny sztuki przedmiocie, o który Berlioz potrącił, — utknął naraz, chyląc ku drzwiom ucho ciekawie.

— Zapukano! (rzecze z niechęcią). Cóż to ma znaczyć? A po chwili dodał głośno: „proszę!“

Na to wezwanie wchodzi właściciel restauracyi z wyrazem zakłopotania i pomięszania na twarzy.

— Czegoż asan chcesz i czemu się na nas tak lękliwie wypatrzyłeś? zapytał zirytowany Chopin, którego drażliwość nerwową lada niezwykłe zdarzenie wywoływało.

— „Ah, racz pan łaskawie wybaczyć, panie Chopin żem się ośmielił zapukać“, wybełkotał zagadnięty gospodarz tonem pokornym, na pół płaczliwym. „Jestem w rozpaczy, nie wiem, co począć. Zechciejcie mi panowie poradzić. To delikatna sprawa... nie mogę się udać do policyi. Nie godzi się robić esklandru, aby na tém reputacya mego zakładu nie ucierpiała... Do tego nie wiem jeszcze, czy czasem obawa moja nie jest płonną...

— „Djabeł chyba będzie z tego mądry“, zamruknął Berlioz, gładząc się niecierpliwie po czuprynie.

— Czego się asan boisz? zapytał pospiesznie Chopin. I o kogo? o siebie, czy o nas?..

— Alboż ja wiem, odparł gospodarz nieśmiało. Może się sam chce zastrzelić, a może kogo innego.

Wiedzcie panowie, że o dziesięć kroków od panów w niebieskim saloniku wieczerza... jeśli nie jestem w błędzie... waryat jakiś, który...

Zamilkł, bo Chopin, jakby sprężyną poruszony, powstał na równe nogi, drżąc z przestrachu. Jego matowe oblicze siną, śmiertelną pokryło się bladością.

Ale Berlioz przyjaciela znów na fotelu osadził, a zachowując przytomność i krew zimną odezwał się sucho do właściciela traktyerni.

— Prosiłbym asana o to, byś się tłumaczył jaśniéj. Rznij prosto z mostu, o co tu właściwie chodzi, bo niech jutra nie dożyję, jeśli Go choć trochę rozumiem!

— Wybaczcie panowie, zaraz powiem! rzekł wystraszony gospodarz. Może jeszcze nie będzie za późno katastrofie zapobiedz. Ten pan w niebieskim salonie jest dopiéro przy trzeciém daniu, toć przecież przed końcem wieczerzy nie... Ale panowie macie słuszność. Winienem się jaśniéj tłumaczyć; jednakże na to potrzeba, abym zaczął od początku.

— I mojém zdaniem tak byłoby najlepiéj! wtrącił Berlioz.

— Otóż tego wieczora około szóstéj przychodzi do sali jadalnéj mężczyzna mniéj więcéj czterdziestoletni i mówi do méj kasyerki: „zamów mi panna salonik średniéj wielkości w antresolu. Będzie nas ośmiu, kolacya comme il faut niech będzie gotową na pół do dzie-

wiątéj. Wybór potraw pannie pozostawiam, ale cena jéj niech nie przechodzi napoleondora za jedno nakrycie, wino i wety. Płacę z góry!“ To rzekłszy, wyjmuje z pugilaresu dwa papierki stufrankowe i podaje je kasyerce, która otwiera szufladę, by mu zdać 40 zbywających fr. Ale mój jegomość machnął pogardliwie ręką i rzekł: „Resztę zachowaj panna pour les domestiques i rozdaj ją między usługujących przy wieczerzy kelnerów!“ Poczém odszedł. Przed pół godziną zaś, gdy wrócił, zawiodłem go do niebieskiego salonu, gdzie go czekał stół nakryty. „Proszę o papier, atrament i pióro!“ rzekł do Jana kelnera, który mu towarzyszył. Przyniesiono mu niebawem wielki arkusz papieru, który wziął i rozciął na ośm części; na każdym kawałku coś tam napisał i pokładł karteczki rzędem na każdém nakryciu!

— Ztąd widać, (przerwał opowiadającemu Berlioz,) że ten jegomość, który mi według opowieści asana na waryata wcale jakoś nie wygląda, będzie biesiadował w dość licznem towarzystwie i dalibóg trudno mi odgadnąć, czemu nas asan niepokoisz, jeśli . . .

— Wybaczcie panowie; zechciéjcie tylko daléj posłuchać. Owoż tedy dotychczas na tę kolacyą nikt się nie stawił prócz rzeczonego jegomości. Gdy uderzyło pół do dziewiątéj, kazał dać na stół. „Czy pan nie raczysz zaczekać, aż nadejdą goście?“ zapytał Jan najgrzeczniéj. „Nie oczekuję już nikogo: jesteśmy w komplecie!“

odmruknął ów jegomość opryskliwie. Jan wybałuszył swe oczy jak talary i wyniósł się. Wkrótce jednak wrócił ze Stefanem a ów pan zasiadł do stołu, ale — uważcie panowie — moi ludzie musieli na żądanie nieznajomego, który mi wygląda na Hiszpana, nie tylko jego samego obsługiwać, ale i przed każdém inném nakryciem stawiać potrawy i niewidzialnym gościom tak każdą potrawę podawać, jakby miejsca były obsadzone. Cóż teraz panowie na to? . . .

— „A to rzeczywiście zabawna historya!“ wrzasnął Berlioz ze śmiechem. „Ale każda rzecz ma dwie strony. Asan, mości gospodarzu, na tém bynajmniéj nie stracisz, bo porcye niewidzialnych po raz drugi spieniężyć możesz, a zaproszeni przez owego jegomości ani sobie nie przeładują żołądka, ani też ich nazajutrz od zbytkowania w winie głowa nie zaboli. Każdy widzi, jak na dłoni, że poczciwiec, o którym mowa, jest nieszkodliwym tylko błaznem!

Ostatnie Berlioza słowa były à bout portant, wymierzone do Chopina, który atoli wcale się śmiać nie myślał, lecz przeciwnie, mając jakoś wielką ochotę do ucieczki, z ukosa na swój cylinder i ku drzwiom spoglądał.

— „Nieszkodliwym?“ pochwycił znowu restaurator. „Daj to Panie Boże! Ale pozwólcie mi panowie dokończyć. Przy obnoszeniu Jan i Stefan mieli sposobność

przeczytania, co na karteczkach było napisane, wnosząc naturalnie, że będą na nich nazwiska współbiesiadników zaproszonych. I cóż ujrzeli? Wyobraźcie sobie, panowie; wyczytali na nich głoski: C, D, E, F, G, A, H. Ósma karteczka, która leżała na nakryciu owego jegomości, gdzieś się była podziała!

— No, proszę! zauważył Berlioz. Toć to jest siedm głównych tonów muzyki. Więc ten dziwak ugaszcza siedm dźwięków diatonicznéj skali. Widać, że to albo postrzelony muzyk jakiś, albo wdzięczny im meloman. Ta historya poczyna mnie teraz mocno interesować.

— Ach! westchnął traktyernik, — byleby się tylko tragedyą nie skończyła! Wierzcie mi panowie, że na widok przybysza, który zupełnie na seryo biesiadował i do swych niewidzialnych gości przepijał, moich kelnerów aż ciarki przechodziły. Jan przybiegł do mnie, o wszystkiém mnie uwiadomił i wnosił, że ów jegomość z niebieskiego salonu jest obłąkanym, który zdołał zapewne ujść z pod straży swéj familii albo nadzorcy domu waryatów i że trzeba się koniecznie starać wywiedzieć o jego nazwisku i adresie rodziny, ale że jego samego o to pytać nie bardzo jest bezpiecznie, bo mu źle jakoś z oczu patrzy. — „Ależ palto jego," dodał, „leży na fortepianie stojącym w rogu salonu; możnaby tedy ukradkiem i po za plecyma tego pana zajrzeć do kieszeni, czy tam nie ma jakich papierów lub czegoś takiego, co-

by na ślad nazwiska jego naprowadziło. Jan się podjął to spenetrować.

— Zrobiłże to? zapytał skwapliwie Chopin. Wszakże asan mówiłeś, że szaleniec siebie albo innych zastrzelić może. Jan może znalazł . . .

— Dwa maleńkie pistolety kieszonkowe, dokończył lękliwie traktyernik, i z przestrachem mnie o tém zawiadomił.

— A czemuż gamuń broni ze sobą nie zabrał? — zapytał Berlioz.

— W pomięszaniu zostawił ją w paltocie!

— Co za osieł! Nadewszystko trzeba się przekonać, czy nabite.

— Naturalnie.

— Czyby tu nie można przynieść paltota, ale tak, aby obcy jegomość tego nie spostrzegł?

— To się uda, bo fortepian stoi niedaleko drzwi, a biedny szaleniec siedzi plecyma od niego odwrócony!

— Ruszaj asan po palto, reszta się znajdzie!

Ledwo się drzwi zamknęły, rzekł Chopin powstając: — „Kochany panie Berlioz, czemu się też zajmujesz rzeczą, która w gruncie tak mało nas obchodzi? Najlepiéjby pono było, gdybyśmy sobie poszli swoją drogą.

— Oho! odparł z drwinkami Berlioz. Zaczynam pana mieć w podejrzeniu, że się boisz!

Chopina oblicze pokrył rumieniec oburzenia, oczy

gniewem zabłysły. Już się na cierpką zbierał odpowiedź; po krótkim wszakże namyśle zapanował nad sobą i wzgardliwie się uśmiechnąwszy rzekł spokojnie: — Ludzi się nie lękam, lecz mych nieszczęsnych nerwów, które srodze się na mnie mścić zwykły, gdy o nich zapomnę. Nie życzę sobie nocy bezsennych, pełnych majaków i przywidzeń; dla tego unikam troskliwie sytuacyi, mogących wywołać nerwowe rozdraźnienie. Aleć pan żądasz, bym został, więc — zostaję.

I począł po gabinecie niespokojnie się przechadzać.

Berlioz zaś wygodnie się rozsiadł na dywanie i tak daléj perorował:

— Dobrze pan robisz, kochany Chopinie, że hartujesz w sobie wolę; to nam na tym nędznym padole koniecznie potrzebne. Prócz tego może ciekawym będziesz dowiedzieć się, co to za jeden ten oryginalny półgłówek, co alfabetowi muzycznemu tak sute wyprawia biesiady. A nużby to był który z panów profesorów prześwietnego konserwatoryum muzycznego! Ale cóż ja bredzę? Niepodobieństwem to już dla tego samego, że ci panowie nigdy rozumu nie mieli; jakaż przeto może być obawa, aby go stracili?

To rzekłszy począł się śmiać śmiechem przeciągłym i szyderczym.

Niebawem drzwi się uchyliły, wszedł właściciel traktyerni z paltotem na ramieniu, wyciągnął z przestron-

néj jego kieszeni dwa tercerole prześlicznéj roboty, cacka prawdziwe, i złożył je przed Berliozem cichutko i ostrożnie.

— Jak mamę kocham, ostre naboje, perkusye, wszystko w najlepszym porządku! szepnął Berlioz. Mości gospodarzu, dzielę jego zdanie. Ten pasażer z niebieskiego salonu poczyna mi się jakoś niepodobać i mógłby się stać niebezpiecznym, gdybyśmy mu wolne zostawili pole. Czy znalazłeś w paletocie papieru kawałek albo kartkę wizytową?

— Nic zgoła.

— No, to tymczasem wykręcimy nabój. Nie bój się asan, nie jestem nowicyuszem i znam się na takich rzeczach.

Rzeczywiście uiścił się z swego zadania Berlioz, jak człowiek z takiemi sprawami obeznany jak najzupełniéj. Lecz potém po krótkim namyśle perkusye na pistonach poosadzał, kurki pospuszczał i broń do kieszeni paltota, który traktyernik jeszcze w ręku trzymał, znowu włożył.

— No, rzekł, każ palto położyć, gdzie wprzód leżało. Możemy teraz oczekiwać spokojnie końca téj dziwnéj biesiady. Czy jeszcze daleko do końca wieczerzy?

— Jeszcze dwa dania!

— Tém lepiéj. Proszę mi powiedzieć, czybyśmy nie mogli tego pana, który mi może być znanym, jeśli jest

muzykiem, z przytykającego do salonu gabinetu potajemnie obserwować?

— Jak najłatwiéj. Numer czwarty nie jest zajętym, a z numeru tego prowadzą drzwi do saloniku. Są one wprawdzie zamknięte, ale namówię Jana, ażeby niby przez niezręczność kilka talerzy upuścił. Wtedy ja, ażeby mu dać reprymandę, drzwi te otworzę, które od strony saloniku są zawieszone grubą portyerą. Tą zasłonięci, możecie panowie nieznajomego mieć na oku i wszystko obserwować.

— Prześlicznie! Palto niech idzie na swoje miejsce, ażeby biedny obłąkaniec nie powziął podejrzenia. Pojdź pan, panie Chopin. Daléj naprzód, marsz!

I natychmiast powstał Berlioz z zwykłą sobie żywością, ciągnąc za sobą przyjaciela. Obaj postępowali w milczeniu za idącym przodem traktyerem.

W kilka minut wsztysko się spełniło według umówionego programu. Berlioz i jego nerwowy przyjaciel stali obaj przyczajeni za fałdami grubéj i gęstéj portyery, zasłaniającéj drzwi cichuteńko otworzone. Wąziutki otwór rozchylonéj zasłony pozwalał im wzrokiem ogarnąć dziwnego, podejrzanego obłąkańca.

Ubiór jego był uroczysty, stósownie do okoliczności dobrany. Miał na sobie frak i białą krawatę. Twarz jego była cery bladożółtéj bez żadnego zarostu; na głowie włos rzadki, ciemny, rysy zapadłe, oczy głęboko

osadzone z pod ciemnych rzęs błędne i niepewne rzucały spojrzenia. Około ust wązkich i wywiędłych igrało coś, jakby wyraz posępnego uporu i szyderstwa. Mimo to całość fizyognomii nie odstręczała; wabiła owszém piętnem niesłychanego smutku i głębokiéj melancholii.

Ujrzawszy go Berlioz, zdumiał i trącił towarzysza, szepcąc mu z cicha do ucha:

— Dalibóg, téj figury nigdybym się tu widzieć nie spodziewał. Wszakże od roku jakby wpadł w wodę nic o nim słychać nie było. Myślałem, że jest w Londynie albo w kraju rodzinnym. Nie dziwię się, że rozum stracił biedaczyna; mało bo miał hartu duszy, ale za to niepowodzeń co nie miara.

— Któż to taki? nie znam go! odszepnął Chopin.

— Józef Gomis, utalentowany kompozytor hiszpański. *

— Czy to ten sam, którego operę „Tragarz“ w zeszłym roku w Paryżu odegrano?

— A jakże! Ten samuteńki. Biedak, ucząc się

---

*) Józef Melchior Gomis, urodzony r. 1793 w Albucete (w Walencyi), mianowany r. 1813 kapelmistrzem wojskowym, opuścił kraj rodzinny, żył potém naprzemian w Paryżu i Londynie, gdzie go jako nauczyciela śpiewu wielce ceniono. Wydał wiele pieśni, wreszcie osiadł stale w Paryżu i tu żył w wielkim niedostatku. Z dzieł jego nic prawie w Niemczech nie znają, chociaż takowe zaprawdę zalecają się talentem i gruntownością.

na mistrzach niemieckich gruntowności i lepszego smaku, sądził w zaślepieniu swojém, że publiczność paryzka zagustuje w jego utworach wyższego polotu. Zaopiekował się nim Rossini i na jego to polecenie teatr Ventadour wystawił w roku 1831 jego komiczną operę: „Djabeł w Sewilli;“ w 1833 zaś akademia drugą jego operę „Upiór.“ Obie opery podzieliły los „Tragarza,“ t. j. choć kilku znawców niemi się zachwycało, to jednak ogół lubowników włoskich łakoci i półgłówków w rękawiczkach glansownych wyświstał je, a intrygi teatralne dobiły nieszczęśliwego muzyka do reszty. Wszakże znamy naszych panów teatrofilów. O, musieli mu dokuczyć do żywego, kiedy go do tego przywiedli stanu. Ale sza! Patrzmy, co będzie z tego daléj!

Berlioz i Chopin milcząc teraz z swego zakątka na biednego obłąkańca spoglądali, któremu się ani marzyło, że czworo oczu obcych patrzyło weń jak wryte.

Wieczerza miała się ku końcowi.

— Czy pan rozkażesz podać kawę? — zapytał kelner.

— Tak jest — była krótka odpowiedź.

— Ile filiżanek?

— Ośm; wszakżeż widzisz, ile osób u stołu.

Przyniesiono ośm filiżanek; pierwsza dostała się

zamarszczonemu Amfitryonowi, po czém dostały C, D, E, F, G, A, H także po filiżance.

Gdy się to stało, Gomis mruknął tonem stanowczym:

— Teraz ruszajcie sobie co żywo, a nie pokazujcie mi się na oczy, póki nie zadzwonię.

Jan i Stefan wyszli z gabinetu. Na kurytarzu czekał na nich pryncypał. Wszyscy trzéj w milczeniu i trwożném oczekiwaniu czekali końca.

Gdy Gomis sam pozostał w komnacie, najprzód westchnął boleśnie, potém wstał od stołu, przystąpił do fortepianu, odsunął na bok leżące na nim palto, otworzył instrument i zasiadł przy nim. Następnie odwrócił twarz wychudłą i zżółkłą ku stołowi, skinął ręką jakby ku swym gościom i tak mówić począł:

— Chodźcie, napowietrzni towarzysze życia mego! Chodźcie i dopomóżcie mi! Pamięć moja tak osłabła, że nic jéj się nie ima. Wszakże wesołą była uczta, którą was pożegnałem, szalenie wesołą! Dla tego okażcie mi wdzięczność większą, niż ta głupia ziemia, na któréj mnie niezadługo nie stanie; przypomnijcie mi moją ulubioną aryę; wśród jéj dźwięków niech dusza moja do lepszego wzleci świata. Chodźcie!

I wychudłe jego palce pomknęły po klawiszach; chciał wygrać jakąś kawatinę, ale ręce jego wywo-

łały tylko z instrumentu bezładny chaos niezgodnych dźwięków.

Utknął, zadrgnął boleśnie i pospiesznie zamknął fortepian.

— „Biada!“ zajęknął głucho. Już po wieczerzy, goście odeszli. Po cóż się jeszcze ociągam!

Sięgnął po palto, chwycił za pistolet, naciągnął kurek, otwór lufy przyłożył do czoła i spuścił cyngiel.

Rozległ się huk perkusyi, a obłąkany kompozytor runął zemdlony na kobierzec. Restaurator wraz z kelnerami wbiegł do komnaty, a Chopin i Berlioz wyszli raptownie z swego ukrycia.

Zaniesiono nieszczęśliwego na poblizki dywan i wszelkich dołożono starań, by go ocucić. Wśród tych zabiegów usłyszano nagle krzyk bolesny i przenikliwy na kurytarzu.

Ukazała się na progu młoda przecudnéj urody dziewica w ubraniu prostém i skromném. Piękne, klasyczne jéj rysy miały w sobie wyraz przestrachu i przerażenia. Wszedłszy powiodła w koło okiem błędném i jakby obłąkaném. Gdy dostrzegła leżącego na dywanie Hiszpana bez duszy i znaku życia, pobiegła do niego, padła na kolana i zawołała załamując ręce: „O wielki Boże, stało się, czegom się lękała! Nie omyliły mnie więc moje przeczucia!“

Chopin, który w swéj odrazie do scen irytujących

nie ważył się zbliżyć do leżącego bez przytomności muzyka, a nawet spojrzeć nań nie śmiał, pięknością i boleścią dziewicy tak mocno się zajął, że o swéj irytacyi zupełnie zapomniał.

Nie mogąc się oprzeć litości czy sympatyi, a może innemu uczuciu, które w jego się odezwało sercu, przystąpił co żywo do rozpłakanego i rozbolałego dziewczęcia, zniewolił je łagodnie do powstania i rzekł głosem cichym, prawie tkliwym:

— Uspokój się, pani! Czegoś się obawiała, temu się na szczęście już zapobiegło. Pistolet leżący tam na kobiercu zawczasu pozbawiliśmy naboju. Nic się więc złego papce nie stało. Zaszło tu tylko omdlenie, z którego zapewne rychło powstanie. Przyjm pani zaręczenie, że wszystko, co można, uczynimy, by jéj ulgę przynieść w téj bolesnéj sytuacyi.

Dziewica odetchnęła lżéj i wpatrzywszy się z wdzięcznością w piękne, szlachetne oblicze bladego młodzieńca, zawołała: „Dzięki Niebu!“ zraszając śliczne jagody obfitym łez potokiem. — Bóg najstraszniejszą próbę odemnie uchylił, lubo nieszczęśliwy niczego się już dobrego po życiu spodziewać nie może. Obawiam się bowiem, aby ciemności nocne na zawsze duszy jego nie zaległy i aby mnie z nim najsmutniejsza nie czekała na przyszłość dola. Jest on nie ojcem, lecz stryjem i opiekunem moim; od dzieciństwa przecież zastępował mi miej-

sce ojca i dla tego miłuję go i szanuję jak własnego rodzica. Ah, zmiłuj się panie i pomóż mi, jeśli możesz powstrzymać nieszczęśliwego od zabójczych zamachów na własne życie. Zasłużył on na to, by nim się zająć, bo zawsze był człowiekiem uczciwym i szlachetnym, a — nim złość ludzka i umyślne zapoznanie jego wartości przyprawiły go o utratę rozumu — niepospolitym nawet artystą.

— Wiem o tém, rzekł Chopin wzruszony. Biedny Gomis godzien był zaiste lepszego losu.

— Czy pan go znasz? zapytała żywo panienka.

— Mój tu obecny przyjaciel, odparł Chopin, wskazując na Berlioza, natychmiast go poznał i powiedział mi jego nazwisko. Ja sam znam kilka utworów stryja pani, i my także jesteśmy muzykami i dla tego daję pani słowo uroczyste, że nie zapomnimy o naszym koledze i jego pupilce.

— Niewątpliwie! dodał Berlioz. Ale zkądże się pani dowiedziałaś, że jéj stryj jest tutaj obecnym?

— Zamieszkujemy pospołu od roku domeczek leżący po za baryerą d'Enfer na samym końcu wioski Bagneux, odrzekła wychowanka Hiszpana. Rzadko kiedy zaglądałam do miasta, mój stryj nigdy. Owóż do dni kilku uderzyło mnie jego dziwne, zagadkowe dla mnie postępowanie; ale dziś był mi jakoś weselszym, przybrał szaty świąteczne i pożegnał mnie z zapewnieniem,

że życie jego odtąd inny, pomyślniejszy weźmie obrót. Niczego złego się nie domyślałam, aż tu późno wieczorem dostrzegłam na biurku bilecik do mnie adresowany. Z ciemnych, tajemniczych w nim napomknień tyle tylko zrozumiałam, że stryj coś niedobrego knowa, bo wspomniał, że idzie do restauracyi bulwaru des Italiens na ucztę katowską. Wystrachana wybiegłam z domu najęłam fiakra i przybywszy na bulwar wszędzie się wywiadywałam, w Maison d'Or, w Café Riche i po innych gastronomicznych zakładach, aż nareszcie wpadłam na trop nieszczęśliwego. Powóz stoi przed domem, ale cóż mam począć, jeśli stryj...

Biedne, przelękłe dziewczę przerwało, bo Gomis, około którego w czasie powyższéj rozmowy restaurator ze służbą nieustanne czynił zabiegi, począł nareszcie dawać znaki życia i niezrozumiale bełkotać.

Panienka objęła szaleńca krągłemi ramiony i zrosiła twarz jego wyżółkłą obfitym łez potokiem. Powstał za jéj i restauratora pomocą, ciągle wołając: zostawcie mnie w pokoju, puśćcie mnie, jam nie żyw!

Chopin odwrócił się nagle ku wzruszonéj dziewczynie i zawołał:

— Pani, jeśli stryja do Bagneux chcesz zawieźć, to jéj towarzyszyć będę.

Wymowne spojrzenie podziękowało mu za te słowa.

Ale Berlioz, odciągnąwszy Chopina na bok, szepnął mu do ucha:

— Bójże się pan Boga, czegoż ci się znów zachciewa? Miéjże wzgląd na swe nerwy! Pomyślno, co się z tobą dziać będzie, gdy szaleniec w powozie we furyę popadnie!

— Stój! rzekł Chopin przerażony. Masz racyę — jedź już bezemnie!

— Tak téż uczynię i na wszelki przypadek jeszcze komisyonera przybiorę.

— Ale maszże téż (nie bierz mi za złe pytania) dość pieniędzy przy sobie?

— A do djaska, ani złamanego szeląga!

Chopin wcisnął mu w rękę swoją sakiewkę i wyszepnął:

— Rozporządzisz wszystkiém, jak trzeba, a jutro do mnie wpadniesz, nie prawdaż?

Zanim odpowiedź nastąpiła, już Chopina w salonie nie było. Uciekł z restauracyi, jakby go kto zlał ukropem, ale na rogu bulwaru przystanął. Ztamtąd widział po kilku minutach biednego artystę, jego wychowankę, Berlioza i jeszcze jednego człowieka wsiadającego do powozu. I długo, długo patrzał za odjeżdżającym fiakrem, póki ten nie znikł z jego oczu. Potém powoli odszedł, mówiąc cicho do siebie: O jakże zachwycającą była w swym smutku! Muszę, muszę ją zobaczyć raz jeszcze!

ROZDZIAŁ DRUGI.

W salonie.

Zaszły w restauracyi wypadek tak silne i niezatarte na Chopinie sprawił wrażenie, że już, już myślał o zaniechaniu odwiedzin u hrabiny d'Agoult. Ale po krótkim namyśle zmienił zamiar i powiedział do siebie: „Cóż mi to zaszkodzić może rozerwać się cokolwiek i ochłonąć z doznanych wzruszeń? Może między gośćmi, któremi się hrabina na swych wieczorach otaczać lubi, dusza moja przyjdzie do równowagi a rozdrażnione nerwy potrzebne znajdą uspokojenie. Lepiéj przecież w rozmowie z ludźmi pełnymi ukształcenia i dowcipu spędzić przyjemnie godzin kilka, aniżeli w ciszy nocnéj i pustelni własnego mieszkania jeszcze raz te wszystkie sceny wspomnieniem przeżyć i narazić się na bezsenność.“

Powoli przeto kroki swoje skierował ku hotelowi de France. Gdyby mógł był odgadnąć, że tam właśnie czeka go dziwniejsza jeszcze, jedna z najosobliwszych, jakie przebył, przygód życia, najniezawodniéj byłby powrócił do domu.

Hrabina d'Agoult nie posiadała w Paryżu własnego mieszkania; wypowiedziała je wybierając się w podróż. Po powrocie z Szwajcaryi do Paryża w roku 1836 nie znalazła odpowiedniego lokalu i dla tego całą amfiladę pokojów w hotelu na czas zimy zatrzymała. Salon przeto znakomitéj talentem i ukształceniem damy, zwiedzany przez najsłynniejszych artystów, uczonych, mężów stanu i płeć piękną, mieścił się chwilowo w domu zajezdnym.

Rad był w duszy Chopin, iż tego wieczora w salonie hrabiny zastał towarzystwo nieliczne, ale doborowe, same tylko znane i przyjazne twarze. Szybko i nieznacznie dokoła rzuciwszy okiem dostrzegł naprzód panią de Girardin, którą, gdy jeszcze Delfiny Gay nosiła nazwisko, powszechnie dziesiątą muzą Francyi nazywano; daléj słynnego adwokata Berrier, szczupłego, wysokiego i sztywnego mężczyznę; był między obecnymi poeta Alfons de Lamartine, znany z talentu i zarozumiałości, który z pewnością szyderczoby się był uśmiechnął, gdyby mu wróżbiarz jaki był wówczas przepowiedział, że po leciech dwunastu jako prezydent rzeczypospolitéj

w szumnopanegirycznych proklamacyach będzie się ubiegał o względy motłochu ulicznego; prócz tego Ferdynand Hiller, wielce ceniony we Francyi kompozytor i krytyk muzyczny, jako téż Henryk Heine, którego w kilka lat późniéj straszne i dolegliwe cierpienie o niemoc śmiertelną przyprawić miało; wreszcie jenialny malarz Eugeni Delacroix i nie mniéj znany śpiewak Adolf Nourrit, którego gwiazda powoli mierzchnąć poczęła, i sztywny jakiś napuszony fircyk, któremu zapewne tylko imię brata, kompozytora Halevego, wstęp do tego grona otworzyło. Kilku artystów jeszcze i dziennikarzy mniéj rozgłośnéj sławy stanowiło niejako satelitów konstelacyi, któréj słońcem była urocza hrabina. (Wreszcie zaprosiła była uprzejma hrabina ze względu na artystę kilku jego rodaków, z pomiędzy których najznamienitsi byli: hrabiowie Bernard i Włodzimierz Potocki, Grzymała, hr. Plater i kilku innych).

Ze wszystkich zebranych jedna tylko osobistość wstrętne na Chopinie zrobiła wrażenie. Był to człowiek chuderlawy, rosły, który właśnie rozmawiał z hrabiną wtedy, gdy Chopin powszechnie z radością witany poufale zbliżył się do pani domu, by jéj złożyć hołd powinny i przeprosić za spóźnienie.

Zewnętrzna owego jegomości postać odznaczała się elegancyą i dystynkcyą i wcale nie przypominała owych karykatur Anglików, jakiemi krotofile niemieckie i fran-

cuzkie widzów rozśmieszać zwykły. Owszém wyglądał on raczéj na godnego reprezentanta angielskiego high-life. Ale za to fizyognomia jego znamionowała w pełni prawdziwego syna Albionu. Szczególniéj zaś nie podobały się Chopinowi w tym gościu z rudemi bokobrodami i wysokiém, graniastém czołem szare, niejako w głąb wnikające oczy, a usta szczelnie zwarte i posągowa nieruchomość rysów twarzy naprowadzała na myśl, że wyspiarz należy do tych samolubów, którzy raz coś postanowiwszy, z żelazną, nieugiętą wytrwałością dążą do celu i przed żadnym, choćby najśmielszym nawet środkiem się nie cofną, byle swego dopiąć.

Niechętnie grywał Chopin w koncertach publicznych, ale kiedy je dawano na cele dobroczynne, wymówić się nie umiał. W każdym z tych występów spostrzegł tego Anglika siedzącego w pierwszym krzeseł rzędzie i nieprzyjemnie go to dotykało, że jego lordowska mość miał zawsze wzrok weń jakby wryty; wtedy go ogarniało coś podobnego do uczucia, jakiego doznaje ptaszek, którego wąż boa oczyma urzeka dopóty, dopóki biedna ofiara w paszczę mu sama nie wpadnie.

Skoro tylko Chopin w salonie hrabiny d'Agoult dostrzegł, jak upornie szare oczy Anglika na każdym niemal kroku go ścigają, uczuł się jakby nie swoim, odgadując z zabobonnym instynktem w nieznajomym istotę,

która na dalsze jego losy i życia koleje miała wywrzeć wpływ stanowczy, a w każdym razie fatalny.

Nie uszedł bystrego oka hrabiny niepokój i roztargnienie wielkiego artysty, zwiększone w nim jeszcze świeżém wspomnieniem biednego Gomisa i ślicznéj Hiszpanki.

— Ejże, kochany panie Fryderyku! rzekła z uśmiechem; cóż się to stało takiego, że chodzisz, jakbyś myślał o rozwiązaniu zagadki bytu i niebytu?

Chopin, który powziął mocne postanowienie o przygodzie z obłąkanym Hiszpanem nie pisnąć ani słowa, chociaż sam nie wiedział, dla czego mu ją zataić wypada, nadaremnie się silił na swobodę i wesołość. Nareszcie po krótkim namyśle rzekł w tonie uroczysto tragicznym:

— Wybacz, pani hrabino, byłbym się stawił rychléj, ale wieczerzałem z Berliozem i to mi kawał czasu zabrało.

— Nie sądzę, wtrąciła seryo pani Girardin, by Berlioz dla pana, drogi panie Chopin, był towarzyszem stósownym i odpowiednim! Jest on dręczycielem dla siebie samego; jakże nie ma pozbawić równowagi tych, których usposobienie jest mniéj energicznem, a do których przecież i pan należysz?

— To prawda, dodał Hiller. Przestawanie z nim nie działa błogo. Jego rozmowy — to wybuchy wulkanu! Po tyradach pełnych natchnienia i wzniosłego

polotu następuje siarczysty deszcz szyderstwa i uszczypliwości, za którym w ślad idzie grad krytycznych pocisków, od których niech każdego Bóg w swéj łasce zachować raczy!

— Berlioz przesiąkł na wskroś goryczą! odezwał się śpiewak Nourrit. A przytém siła wymowy jego jest tak wielką i przekonywającą, że każdemu, co z nim choć kwadrasik rozmawia, mimowolnie się ta gorycz udziela. Otóż i teraz nam naszego kochanego i tak już hipokondrycznego Chopina skwasił do reszty.

— Zostawcie mi, moi państwo, Berlioza w pokoju! rzekła hrabina d'Agoult z czarującym na ustach uśmiechem. Znam go, złote to serce, i dąży tylko do tego, co dobre, co najlepsze. Zresztą (dodała z uroczém przymileniem) wdzięczność mu się od nas należy, że nam naszego Chopina zupełnie nie zatrzymał. Mój panie Chopin! To darmo! Liszt nam dzisiaj skrewił, mimo że przyjść obiecał. Winieneś go zastąpić!

— Zastąpić? przerwał jéj skromnie i z lekkim wyrzutem Chopin. Hrabino, pani żartujesz!

— W saméj rzeczy, źle się wyraziłam! dodała hrabina z czarującą, wrodzoną Francuzkom grzecznością. Chopin Liszta tak mało zastąpi, jak Liszt Chopina.

— Jeśli Liszt więcéj koncertów dawać będzie, począł mowić hr. Cezar Plater z lekką ironią, na honor trzeba się obawiać, aby entuzyazm Paryżan nie zamienił się w

chorobę św. Wita. O nim tylko mówią, dlań o wszystkiém zapominają, nawet o polityce. Jakże on szybko z Genewy przybiegł do Paryża! Wawrzyny Thalberga zasnąć mu nie dały. Jeden przychodzi, idzie zaraz i drugi po nim. Tak to na tym świecie bywa. A propos, hrabino, czy Rossini był już u pani z pożegnaniem?

— Jeszcze nie! Więc naprawdę myśli o powrocie do Bononii?

— Tak jest! Czy pani wiesz, co naszemu Maestro nie daje miru? Oto powodzenia Meyerbeera. Mówiłem wczoraj z Rossinim. Powiedział: „Kiedy już do tego przyszło, że żydzi opery piszą *), to trzeba się co prędzéj wynosić!“ Zresztą już osięgnął cel, który w roku 1830 powrót jego do Paryża spowodował. Wygrał bowiem proces przeciw administracyi listy cywilnéj i będą mu odtąd płacili pensyą 6000 franków rocznie, a biedny milioner — dodał szyderczo Plater — przynajmniéj się już w Bononii śmierci głodowéj obawiać nie będzie.

Serdeczny, przeciągły śmiech rozległ się po salonie. Z téj chwili skorzystał poważny Anglik i zwrócił się do hrabiny.

— Pani hrabino, zechciéj mię pani łaskawie przedstawić panu Chopinowi, rzecze jak najczyściejszą fran-

*) Gdy go w r. 1838 zachęcano do napisania nowéj opery, odpowiedział: „Poczekajcie, aż żydzi swój sabbat skończą!“

cuzczyzną, która bardzo mało trąciła akcentem angielskim.

— Jak najchętniéj! odparła hrabina. Wybaczcie panowie, sądziłam, że się panowie już znacie. Lord Darley — pan Fryderyk Chopin.

Nasz wieszcz ukłonił się zimno. Jakieś nieokreślone przeczucie ostrzegało go o niebezpieczeństwie znajomości z tym człowiekiem, w którego oczach wyczytał wyraz tak dziwnéj, natarczywéj i przykréj ciekawości.

Lord Darley młodemu artyście oddał ukłon sztywny i ceremonialny; poczém rączo do niego przystąpił i rzekł półgłosem, lecz jak najgrzeczniéj:

— Sir, już kilkakrotnie czyhałem na sposobność zbliżenia się do pana. Czy pan zezwolisz na to, abyśmy, o ile przyzwoitość towarzyska na to zezwala, pomówili ze sobą na osobności i w cztery oczy?

Hrabina właśnie się była odwróciła, wdawszy się w poufałą gawędkę z panią de Girardin; Chopin i Anglik byli odosobnieni; nic im zatém nie przeszkadzało usunąć się na bok celem rozmowy sam na sam. Wielki artysta byłby się okazał niegrzecznym, nie przychylając się do prośby magnata.

Zamiast słownéj przeto odpowiedzi powtórnie się ukłonił. Lord zaś bez ceremonii pochwycił go pod ramię i powiódł do niży poblizkiego okna.

— Czegóż on odemnie może żądać? pomyślał sobie wieszcz. Zapewne to jeden z protektorów towarzystwa filarmonicznego w Londynie i chce mnie namówić do koncertu w mglistéj nadtamizańskiéj stolicy. Uchowaj mnie Boże, bym miał dla niego wątłe swe zdrowie na szwank narażać.

Ale najzupełniéj się omylił, gdyż Anglik wcale co innego miał na myśli.

Lord półgłosem w te odezwał się słowa:

— Wiem to bardzo dobrze, łaskawy panie, że nie tu pora i miejsce wypowiedzieć, jaką mam prośbę do pana, ale powiadano mi, że pana tak rzadko można zastać w domu i że niechętnie u siebie obcych przyjmujesz. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tutaj panu zwierzyć się z tém, co mam na sercu.

— Czém mogę panu służyć? zapytał Chopin niecierpliwie.

— Have a moment patience, dear Sir! Słyszałem grę pana w kilku koncertach danych na cele dobroczynne. Niedawno dopiéro.....

— Zaiste przypominam sobie fizyognomią pańską!

— Rzeczywiście? Tém lepiéj. Otóż pańska gra jest przecudowną!

— Pan jesteś zanadto łaskaw! Ale proszę, czyby nie można się...

— Pozwól pan! pewna piękność, jedna z rodaczek

moich powiedziała, że pan grasz, yes that's it, jak anioł.

— Przyznam się panu, że nie wiem, czy aniołowie grają na fortepianie. Ale mniejsza o to! Czy wolno pana spytać, o co właściwie chodzi?

— Very well! W jednym z ostatnich koncertów przed tygodniem grałeś pan swoją balladę G—mol, opus 23. Muszę się nauczyć téj sztuki tak zupełnie, jak pan ją grywasz, nie gorzéj ani na jotę. Muszę i chcę tego dokazać. Czy pan zechcesz być mi w tém pomocnym?

Chopin z zdumieniem patrzał na Anglika. Ale w obliczu i oczach interlokutora swego wyczytał wyraz silnéj, nieugiętéj woli i porządną dozę uporu.

— Ach! mylord zapewne jesteś biegłym pianistą! napomknął wieszcz po krótkiéj przerwie jakby ad niechcenia.

— Wcale nie jestem muzykalnym, odpowiedział Lord krótko i głosem jak najnaturalniejszym. Ale to wcale nic nie ma do rzeczy.

— Ależ pan pozwól! przerwał Chopin osłupiały z podziwienia.

— Never mind! mówił daléj Anglik nie zmięszany. Nie znam nót wcale, nie chodzi mi téż o ich poznanie, chodzi mi o wyuczenie się pańskiéj ballady G—mol, opus 23, a chcę jéj się nauczyć tak, jak pan

ją grywasz, i dla tego pragnąłbym, abyś mi pan każde uderzenie wskazał i dopóty takt po takcie wskazywał, póki całéj sztuki nie wykonam tak, jak ją pan grywasz.

Chopin zdrętwiał. Żądanie lorda dreszczem go przejęło. Ale wkrótce ochłonąwszy z doznanego wrażenia mimowolnie się rozśmiał.

— Mylordzie, pan żartujesz!

— Nigdy nie żartuję, Sir!

— Ależ to, czego pan wymagasz, jest niepodobieństwem!

— Czemu niepodobieństwem? Wszystko jest podobném, czego szczerze i całą siłą woli pragniemy. Nie chodzi mi przecież o to, jeszcze raz powtarzam, bym został wirtuozem na fortepianie. Na to jużem za nadto zabiegł w lata, liczę ich czterdzieści; nie przepadam téż tak dalece za muzyką, aby.... ale pańskiéj ballady Gmol, opus 23 muszę...

— Mylordzie!

Anglik wskazał mu swe białe, delikatne ręce.

— Otóż pan widzisz, mówił daléj, te palce są jeszcze dość giętkie, pojęcie mam niezmiernie szybkie i bystre, a nadewszystko — wytrwałość i cierpliwość.

— Ale mnie za to na niéj zbywa! dodał Chopin ze śmiechem.

— Never mind! Panie Chopin, proszę moją propozycyą brać zupełnie na seryo, i wybacz pan, że

zaraz tutaj poruszę drażliwy punkt wynagrodzenia. Żądaj pan za lekcye, ile chcesz, na wszystko się zgadzam. Ucz mnie pan kwartał, pół roku, choćby rok cały, co dzień godzinę, trzy, pięć, nawet i dziesięć godzin, jeśli tego będzie potrzeba, all right, Sir!

— Ani za wszystkie skarby całego świata, Mylordzie, tego zadania się nie podejmę! szepnął Chopin, — wpatrując się niemal lękliwie w Anglika. Wkrótce atoli, jakby łagodząc szorstkość odpowiedzi, dodał:

— Przecież pan wymagać nie będziesz, bym dla niego wszystkich swych uczniów i uczennice . . . . .

— Never mind! Puszczaj ich pan, panie Chopin! Puszczaj śmiało i bez wahania! Wszystko przewidziałem. Wszystko panu wynagrodzę. Może się pan, Mister Chopin, przychylić raczysz do méj prośby, gdy mu powiem, że całe szczęście mego życia zawisło od nauczenia się pańskiéj balady Gmol, opus 23. . .

— Szczęście życia pańskiego?

— Tak jest. Trudno mi teraz jaśniéj to panu wytłumaczyć. Ale przy tém obstaję, byś się pan niezwłocznie zdecydował. Czy przychylasz się do méj prośby?

— Mocno żałuję, iż tego uczynić nie mogę!

— Czy to ostatnie słowo pańskie?

— Tak jest!

Na twarzy lorda Darley nie było widać ani gniewu, ani nieukontentowania, pochodzącego z zawiedzionéj na-

dziei; grzecznie się ukłonił, chcąc przez to dać poznać, że nie myśli go dłużéj odciągać od towarzystwa i rozmowy z resztą obecnych.

Niebawem przystąpili obaj do innych gości hrabiny. Ale Chopin mimowolnie i z ukosa spoglądał na Anglika, myśląc sobie: „Zapewne to dziwak jakiś, na splin chorujący. Czy skaranie Boże? Doprawdy zdaje się, że napisano w księdze przeznaczeń, abym się dzisiaj z samymi tylko waryatami spotykał.“

I byłby się nasz wieszcz nerwowy i drażliwy daléj jeszcze tym i podobnym refleksyom oddawał, gdyby go w téj chwili wszyscy zebrani nie byli obstąpili, prosząc usilnie i gorąco, ażeby na fortepianie improwizował.

Wezwanie przychodziło w porę i było po jego myśli. Wszakże tym tylko sposobem mógł się otrząść z doznanych wrażeń, zatrzeć niemiłe wspomnienia. I u siebie, w domowém zaciszu, gdy napady hipokondryi, gdy dolegliwości ciała zanadto mu dojmowały, gdy nie wiedział, jak się pozbyć utrapień, zawodów i dokuczliwości, od których jest nieodłączną karyera wielkiego wieszcza i artysty, mającego wyższe dążności i niedbającego o poklaski bezmyślnéj gawiedzi: wtedy siadał do fortepianu, puszczał wodze fantazyi i w śmiałym myśli polocie wznosząc się wysoko pod stropy niebieskie bujał tam, zapominając o troskach, boleściach i cierpieniach, przywiązanych do bytu naszego doczesnego.

Z chęcią przeto zbliżył się do fortepianu i przy nim zasiadł. Wszyscy obecni wiankiem instrument obsiedli. Mistrz rozpoczął improwizacyą. Delikatne, blade oblicze jego przybrało wyraz melancholicznéj zadumy; ciemne oczy mimowolnie, bezwiednie, marząco utknęły w przeciwległéj ścianie; wzrok duszy daleko uleciał, do uświęconéj wspomnieniem, ozłoconéj marzeniami wieku dziecinnego ukochanéj ojczyzny. I ukazał mu się kraj rodzinny w całym powabie i uroku z kwiecistemi błoniami, z posępną jodłowych lasów zielenią, z stepami i siołami swemi. Oto zimowy krajobraz! Nieprzejrzane okiem płaszczyzny śniegiem pokryte, gdzieniegdzie wyniosłe wieżyce wskazują ludne i gęsto osiadłe miast siedziby; z po za ciemnych, mglistych obłoków słońce krwawą łuną wschodzi, złocisto-mdłym blaskiem oświecając ogromny, bezbrzeżny całun natury. W około na śniegiem pokrytych błoniach nie widać śladu życia — wszędzie cisza i samotność, kruki tylko wzlatując złowrogiém krakaniem ją przerywają. Ale nagle pusty step się ożywia. Ze wszech stron — z miast okolicznych i włości, z samotnie położonych osad spieszy wiejska ludność, dzielni i bitni męże, których żegna w pochodzie drobna dziatwa i kochające żony, i wszyscy się w zwarte formują szeregi i na wszystkich twarzach błyszczy radość, natchnienie, ofiarna pogarda śmierci, gorąca miłość ziemi rodzinnéj. Wśród surm i kotłów odgłosu prostują

się szyki, a skocznego krakowiaka nutę zagłusza wiekowa pieśń, credo wiary narodowéj, wzniesiona z piersi tysiąca.

I tak kroczą wśród śnieżnych zamieci zbrojne orężnych hufce, silne świętą miłością ukochanéj ojczyzny, pełne otuchy i nadziei, przeciw odwiecznym wolności wrogom, ukrytym za wzgórzami i lasem.

Na stepie znów cicho i głucho! Kruki tylko zawodzą swą dawną, chrapliwą, złowrogą i dysharmonijną pieśń zagłady i żałoby. I pochylił się dzień ku schyłkowi, dzień pamiętny i fatalny dla synów Polski. Cóż tam w cieniu wieczornym majaczy z po za wzgórz i lasów? Bezładne tłumy rozpaczliwie walczących bojowników po śnieżnych obszarach znękane ustępują przed przemocą. Zwiększa się, rośnie gwar coraz więcéj, — są to znużone, pierzchające, krwawe wojaków niedobitki, cofają się przed zwycięzcami, którzy gonią za nimi wśród pijanych okrzyków, podobnych do szakalów wycia. Zalewają step dzikie najezdników hordy, tentent rumaków mięsza się z ich zwycięzkiemi okrzyki, głuchy jęk dzwonów płynie po powietrzu — a olbrzymie kłęby dymu i krwawe łuny pożaru wskazują tam zgliszcza, gdzie wprzód były sioła osiadłe i miasta kwitnące. Coraz bardziéj milknie zgiełk i wrzawa bojowa, furya wojny bieży daléj, a szalone okrzyki i wycia słabém tylko do-

latują echem. O północy posępna cisza step śnieżny zaległa. Księżyc wypłynął na niebios lazury i jego mdłe, drżące promienie oświeciły zasłane poległymi wojownikami pobojowisko, cmentarz olbrzymi. Tam obok stósu pomordowanych obrońców świętéj sprawy wolności młodziuchny żołnierz, śmiertelnie ranny, na pół się podnosi i na bezwładném wspiera ramieniu. Obok niego leży krwawy sztandar, poszarpany i podruzgotany; resztki i strzępy jego uszły baczności wroga. Na pół martwe młodziana ramię rozpina mundur na przestrzelonéj piersi, wyjmuje z pod niego krwawy medalion z obrazem dziewicy przecudnéj urody. Mdlejącą ręką przyciska do ust zadatek dozgonnéj miłości, z uniesieniem składa na nim pocałunek ostatni, przykrywa się szmatem chorągwi i wznosi gasnący wzrok ku niebu. Księżyc posępnie oświetla tę sceny, ostatni jęk zamilknął. . . .

Takie było widzenie wieszczéj Chopina duszy, gdy wzrok jego przygasły spoczywał na poblizkiéj ścianie komnaty. Taki dramat odtworzył geniusz jego w natchnionéj i pełnéj najwznioślejszéj poezyi improwizacyi.

Skoro tylko grać przestał, ręce jego na chwilę na tastaturze spoczęły i całą postacią wstecz się na poręcz fotelu pochylił. Łzy, których potok ledwo siłą woli powstrzymać zdołał, wzrok mu przyćmiły.

Ale i słuchaczów grono głęboko było wzruszoném. Nikt się nie poważył świętemu wieszcza natchnieniu

ubliżyć czczym poklaskiem, podziwu słowem lub tuzinkową pochwałą, ale za to na wszystkich twarzach można było wyczytać całą potęgę wrażenia, jakie gra mistrza na obecnych sprawiła. Uroczysta cisza i westchnienia z głębi piersi dobyte, za najwymowniejszą stały pochwałę.

Nareszcie hrabina d'Agoult milczenie przerwała.

Nie mogąc się oprzeć sile wzruszenia, zbliżyła się piękna i dostojna dama do artysty i położywszy dłoń śnieżnéj białości na jego głowie rzekła głosem rozrzewnionym: „Chopinie, jest w panu geniusz w boleści spowity i z nią spotężniały. Szczęśliwi, co go ocenić i wielbić umieją.“

Chopin smutnie się uśmiechnął i uścisnąwszy rękę hrabiny powstał. Teraz dopiero znaleźli inni słowa do wyrażenia swego podziwu. Improwizator lawiną pochwał i uwielbień został zasypany. Z nieudaną skromnością starał się od nich uchylić. Nareszcie, aby koniec żenującym położyć demonstracyom, spojrzał na zegarek i zwracając uwagę obecnych na spóźnioną porę, napomknął, że czas myśleć o powrocie do domu. Rzeczywiście była już godzina pierwsza i uwaga Chopina była jak najsłuszniejszą, ale goście egzaltowani i ożywieni o rozstaniu ani pomyśleli. I nasz rodak, który tę egzaltacyą wywołał, w gruncie duszy nie miał ochoty odchodzić. Rzut oka na obecnych przekonał go, że lord Dar-

ley już się wyniósł: Anglik wyszedł był w chwili, gdy Chopin zasiadł do fortepianu; nie było więc w zebraniu jedynéj osoby, która w drażliwym do zbytku artyście mogła wywołać niepokój i zły humor. Przytém improwizacya rozwiała do szczętu wszystkie hipokondryczne obłoki, horyzont duszy jego zalegające. Czując się jakby odrodzonym i zupełnie innym, wziął udział w powszechnéj rozmowie, która z jakie pół godziny jeszcze toczyła się swobodnie i wesoło.

W końcu pani de Girardin dała hasło odwrotu. Zaczęto się żegnać i rozchodzić. Mężczyźni małżonkę słynnego publicysty odprowadziwszy do powozu, rozeszli się potém na wszystkie cztery wiatry. Chopinowi wypadło zaraz z hotelu iść bez towarzysza do dmou. Pożegnawszy gospodynię domu i innych obecnych zdążał spiesznie do swego mieszkania.

Kilku przecież z mężczyzn wyszedłszy z hotelu de France, nim się na dobre rozłączyli, zamierzyło po drodze wstąpić do kawiarni de Foy w Palais-Royal. Do nich należał Heine, Nourrit, Eugeniusz Delacroix i ów sztywny a nadęty Halevy.

Ostatni obejrzał się jakby od niechcenia za spiesznie uchodzącym Chopinem i rzekł z pyszałkowatą zarozumiałością: „Prawdać to, że nasz kochany Chopin gra prześlicznie, lubo wyznać winienem, że gra jego w śmiałości i porywającéj potędze Lisztowskiéj nie dorównywa,

ale kompozycye jego, szczerze powiadam, nie zachwycają mnie wcale; dziwaczne jakieś, do zbytku sentymentalne, czasem zupełnie niezrozumiałe, a nadewszystko specyficznie polskie. W mazurku toć to jeszcze jakoś uchodzi. Mój panie Hiller, pan jesteś krytykiem muzycznym. Czy zdaniem pańskiém Chopin ma przyszłość przed sobą?

— Tak pewno ją ma — mruknął Hiller opryskliwie — jak co ludzie są nie mają na świecie nawet teraźniejszości przed sobą.

Śmiech głośny i serdeczny powitał słowa Hillera; śmiech ten podzielił napuszony i wyelegantowany fircyk, by udać, że się nie domyśla, kogo się słowa Hillera dotyczą.

Heine zaś wziął poufale śpiewaka Nourrit na stronę, pytając go z cicha:

— Któż to taki ten chłystek? Nie przedstawiono mi go w salonie hrabiny.

— Brat kompozytora Halevego! odparł Nourrit. Jakże się panu wydaje?

— Zupełnie tak, jakby go jego brat skomponował! odrzekł Heine sucho.

Nourrit parsknął. Nie kto inny to, zapewne, jak on sam dowcipną Heinego odpowiedź po muzycznych kołach paryskich rozpowszechnił, gdzie ją powtarzano przez kilka dni i należycie komentowano.

ROZDZIAŁ TRZECI.

We willi.

Chopin z początku kroczył szybko, wkrótce atoli bieg zwolnił.

Uczuł bowiem wkrótce znużenie i jakieś z sił opadnięcie, a ponieważ w salonie hrabiny nic nie jadł, lecz tylko kilka filiżanek herbaty wypił, nie dziw, że głód się w nim odezwał. Zwyczajne to i doświadczeniem stwierdzone zjawisko, iż osoby słabowite, nerwowe, a mianowicie piersiowe, jeżeli nie są dobréj tuszy, w krótkich przerwach, co dwie lub trzy godziny coś przekąsić muszą, jeśli nie chcą uczuć osłabienia i indyspozycyi.

W drodze przeto oglądał się po obu stronach ulicy, czy nie ujrzy godła jakiéj traktyerni. Młody artysta,

nienawidzący całą duszą wrzasku i dymu fajek, w téj chwili gotów był wstąpić i do prostéj garkuchni, byleby czém tém dokuczliwy głód zaspokoić; ale na nieszczęście w ulicach, przez które przechodził, nigdzie takowéj widać nie było. Miał Chopin pod względem gastronomicznym gust niesłychanie wybredny; stołował się tylko w restauracyach pierwszego rzędu; obracanie się wśród najwyższych warstw społeczeńskich i baczność na własne zdrowie wyrobiły w nim to nawyknienie. Teraz gotów był wstąpić i do restauratora drugiego lub trzeciego rzędu, ale próżno się, jak już powiedzieliśmy, za takowym oglądał. Dzielnica miasta, przez którą przechodził, należała do pośledniejszych, kramy były pozamykane, wszystko spało snem twardym i żywéj duszy widać nie było.

Z przyjaciołmi razem iść nie chciał z dwóch przyczyn: najprzód, kawa byłaby go niezawodnie o noc bezsenną przyprawiła; powtóre Palais-Royal nie było mu po drodze. Obejrzał się, czy kogo ze znajomych jeszcze nie zobaczy, ale wszyscy już byli znikli i w inne sąsiednie ulice zboczyli.

Idąc daléj począł się powoli oswajać z myślą, że w téj dzielnicy miasta swemu życzeniu zadość nie uczyni. Ulica była pusta, domy pozamykane, nigdzie nie było widać godła gastronomicznego zakładu.

Doszedłszy do rogu skręcił w boczną uliczkę, aby sobie skrócić drogę do domu. W téj uliczce ujrzał niespodzianie w odległości kroków mniéj więcéj dwudziestu, tuż przy chodniku, powozik zamknięty o dwóch siedzeniach, czyli tak zwane coupé.

Do eleganckiego i wygodnego ekwipażyku była zaprzężona para karych rumaków. Na koźle siedziało dwóch ludzi z kołnierzami u płaszczów tak wysoko podniesionemi, że twarzy ich rozeznać nie było można; na chodniku zaś stał drągal wysoki, rosły i silny jak dąb, w liberyi, która jednakże wypustek nie miała.

Nie zdziwiła wcale Chopina obecność ekwipażu i lokajów, zapewne na swe państwo czekających; uderzyło go tylko, że dom, przed którym stało coupé, był szczelnie zamknięty a w jego oknach ciemność zupełna. Wreszcie zadał sobie mimowolnie pytanie, gdzie się też pomieści stojący u drzwi olbrzymi lokaj, bo coupé nie miało tylnego dla służby siedzenia, a w powozie przecież państwo do swego towarzystwa kamerdynera przypuścić nie mogli.

Te uwagi mimowolny uśmiech na jego ustach wywołały, ale nie chcąc sobie nad rozwiązaniem zagadki napróżno łamać głowy, szedł spokojnie daléj.

Wtém, gdy chce ekwipaż minąć, drągal w długim płaszczu zachodzi mu drogę, dobywa ukryty pod połą

pistolet, mierzy nim prosto w głowę zdziwionego artysty i rzecze głosem basowym:

— Mój panie, skoro tylko słowo piśniesz lub głośniejszy wydasz okrzyk — po tobie!

Chopin kilka godzin wprzódy oświadczył był Berliozowi z niedopuszczającą wątpliwości stanowczością, że się nie lęka ludzi, lecz majaków swéj rozgorączkowanéj wyobraźni, omamień zmysłowych i tym podobnych przywidzeń; — i miał słuszność najzupełniejszą, bo konsternacya jego trwała zaledwie sekund kilka i w obec grożącego niebezpieczeństwa okazał taką przytomność umysłu i krew zimną, że mu jéj niejeden z nienerwowych szczerze mógł był pozazdrościć.

W przekonaniu, że to jest sprawa z rzezimieszkami nowego rodzaju, począł szukać po kieszeniach sakiewki z pieniędzmi; ale rychło się opamiętawszy, że ją wręczył był Berliozowi, wyciągnął zegarek z kamizelki, by go oddać napastnikowi, który na bandytę jakoś wcale porządnie i przyzwoicie wyglądał i niczém się nie różnił od lokaja dystyngowanego pana nie tylko ubiorem ale i fizyognomią.

Gdy człowiek z pistoletem w ręku dostrzegł manipulacyę Chopina, okropnego nastroił marsa i rzekł jakby z oburzeniem:

— Dajno pan temu pokój!

Schował Chopin zegarek i zdekontenansowany spojrzał na swego przeciwnika, przekonawszy się jedném z ukosa spojrzeniem, że woźnica i jego towarzysz na koźle tak się zupełnie zachowywali, jakby ich ta historya i postępowanie kolegi bynajmniéj nie obchodziło.

— Czegoż asan chcesz odemnie? zapytał artysta zdumiony.

— Nazwiska pańskiego, mój panie! Jeśli mi go pan nie powiesz, natychmiast go zastrzelę! krótko odpowiedziano.

— Czy to znów waryat jaki ale w innéj, poprawnéj edycyi? pomyślał sobie Chopin, doświadczając dziwnego nieokreślonego jakiegoś uczucia.

Gdyby na ulicy oprócz trzech zawalidrogów była się pokazała jaka żywa dusza, byłby niechybnie zemknął mimo pogróżek, których znaczenie było wcale niedwuznaczném. Ale w obecnych okolicznościach nie chciał tego zaryzykować.

Przymusił się przeto do uśmiechu i rzekł na pozór swobodnie i wesoło:

— Nie chcesz mię asan zrabować; — chodzi ci tylko o moje nazwisko. Drogie mi moje nazwisko, ale droższe jeszcze życie. Nazywam się Fryderyk Chopin.

Szorstki interpelator schował pistolet, uchylił grzecznie kapelusza i poważnie się ukłonił.

— A! O pana mi właśnie chodzi! rzekł w końcu.

— O mnie? Co to ma znaczyć?

— Przepraszam mocno, ale to mnie tylko samego obchodzi.

— Spodziewam się, że i mnie po troszę!

— Wybacz pan, panie Chopin, ale mnie się nie wolno wdawać z panem w dyskusyą. Bądź pan łaskaw wsiąść do powozu!

— A to co? Ja? Do tego coupé?

— Tak jest.

— Na co? Po co?

— O to proszę nie pytać!

— Wtedy . . .

— Siądziesz pan, albo . . .

To mówiąc, dziwny lokaj wskazał na kieszeń z schowanym w niéj pistoletem.

Chopin jeszcze się ociągał.

— Zechciéjże pan nareszcie pojąć (rzecze Goliat w liberyi), że tu nie chodzi wcale o jakiś rabunek, ani o skrzywdzenie jego osoby. Wszakże pan widzisz, z jakim szacunkiem się z nim obchodzimy!

— Osobliwszy mi to szacunek! bąknął Chopin — rzuciwszy okiem na fatalną napastnika kieszeń. Potém dodał: — Widzę, że u okien pojazdu story są zapuszczone; nie mam więc wiedzieć, dokąd się udamy!

— Nie masz tego wiedzieć, panie Chopin. Prócz tego pozwolisz pan oczy sobie zawiązać.

— Ach!

— I jeszcze prosiłbym pana o to, byś w powozie spokojnie się zachował i o nic nie pytał. Będę siedział obok pana.

— Doprawdy?

— Nie wolno mi na pańskie pytania odpowiadać. Gdybyś pan miał w jakiéj z ożywionych jeszcze ulic stawiać opór lub wołać o pomoc, wtedy...

Tu zamilkł, wskazując z niemym, bardzo zrozumiałym gestem na wzwyż wspomnianą kieszeń. Potém z lewéj jéj bliźniaczki wyciągnął miękki, delikatny, prawdziwie ostindyjski fular złożył go nakształt przepaski i rzekł: „Bardzo proszę, panie Chopin, nie ma czasu do stracenia. Przyjmij pan zapewnienie, że nic złego względem pana nie zamyślają, lecz z tęsknotą go oczekują!

— Co u licha! szepnął Chopin pospiesznie, czy to pan czy dama jaka?

— O tém mi mówić nie wolno. Czy łaska? i zarazem wskazał na fular.

Chopin szybko się obejrzał. Ulica pustą była jak przedtém; ludzie na koźle siedzieli sztywno, jak gdyby kij połknęli; prócz tego zdawali się jak pień głuchymi. Ciemne ich i jednobarwne ubranie nie naprowadzało na domysł, w jakim domu służą a ponieważ drzwiczki pojazdu szeroko były otwarte i do kół niemal przytykały, nie można było widzieć czy na nich był herb, i jaki.

Gdyby artysta był to chciał spenetrować, zbrojny w pistolet lokaj byłby się temu niewątpliwie oparł. Omijająca odpowiedź, jaką Chopin na ostatnie pytanie odebrał, naprowadzała go na domysł, że tu chodzi o potajemną schadzkę z jaką dystyngowaną damą.

Znikła przeto wszelka w nim nieufność i zamieniła się w żywą ciekawość i niecierpliwe oczekiwanie.

Dla tego pozwolił sobie oczy zawiązać i wsadzić się do powozu. Lokaj wszedł z nim razem do pojazdu i usiadł tuż obok niego. Słyszał Chopin, jak drzwi zatrzaśnięto i jak coupé ruszyło żywo i zaturkotało po bruku.

Młody artysta miał teraz dosyć czasu i sposobności oddania się w milczeniu przeróżnym refleksyom, bo towarzysz, co mu się był narzucił, milczał, jak zaklęty.

— Rzecz ta zupełnie się jak pierwszy rozdział romansu rozpoczyna! pomyślał sobie Chopin, — albo jak wstępna opery scena. Winienem się przygotować na jednę z przygód, jakiemi panowie libretyści tak hojnie pierwszych tenorzystów obdarzać zwykli. Ale mniejsza o to. Czekajmy cierpliwie końca!

Mimowolnie śmiał się Chopin w duszy. W swém zaciekawieniu napróżno sobie łamał głowę, przebiegając w myśli cały szereg salonów, w których ostatniemi czasy grywał, i odbywając przegląd wszystkich dam dystyngowanego świata, by odgadnąć, któraby z nich ten

dziwny i niepojęty wykradzenia figiel wypłatać mu mogła. Wszystko nadaremnie.

Gdy tak odgadnięciem zagadki suszy sobie głowę, zapominając o głodzie i znużeniu, powóz tymczasem mknie pędem strzały.

Czas dłużył mu się niezmiernie. Nareszcie wydało mu się, jakoby koła toczyły się już nie po bruku, lecz po gładkiéj i równéj szosie.

A zatém wyjechał po za obręb miasta. Dokądże teraz zmierza? Jazda zdaniem niecierpliwego artysty trwała całe wieki

Już począł się niepokoić; aż tu naraz mu się zdało, jakoby powóz biegł po drobnym żwirze, jakim zwyczajnie posypują drogi do will i pałacyków wiejskich wiodące.

Wtém nagle coupé stanęło. Otworzono drzwiczki, wysiadł towarzysz Chopina i wziął artystę pod ramię, aby go wysadzić.

— Wysiądź pan! zawołał.

Usłuchał Chopin i z pomocą sługi wstąpiwszy na kilka wschodów kamiennych, — wkrótce uczuł pod nogami miękki kobierzec i oczekiwał chwili, w któréj mu nareszcie z oczu zdejmą przepaskę.

Sługa odszedł. Chopin przypomniał sobie sceny oper, odpowiednie swéj sytuacyi, i sądząc, że teraz stósowna nadeszła pora, bohaterów scenicznych wzorem chustkę zdarł z oczu.

Przekonał się, że jest sam jeden w salonie opatrzonym we wszystko, czego tylko wyrafinowany zbytek i najwybredniejszy komfort wymagać może. Nasamprzód zwrócił jego uwagę stół zastawiony najwykwintniejszemi potrawami, zbrojny bateryą długoszyich butelek, opatrzonych najrozmaitszemi dewizami. Do aksamitnego fotelu, który do stołu przysunięto, przyszpilona była karteczka z napisem: „rozgość się, panie Chopin i wieczerzaj!“

Bez namysłu usłuchał nasz artysta dobréj rady, gotów zaspokoić żołądek, dość silnie swych praw się dopominający.

Był na to przysposobionym, że lada chwila otworzą się podwoje i — rzeczywiście — uchylono je, skoro tylko przestał wieczerzać.

Usłyszał ciche stąpanie, szybko odłożył serwetę na bok i z kieliszka resztę wychyliwszy wina, powstał. — Z najżywszą ciekawością spojrzał na osobę, po któréj spodziewał się rozwiązania dziwnéj, niepojętéj zagadki. Ale wkrótce cofnął się rozczarowany, zniechęcony, nieomal struchlały.

Na progu komnaty stał chudy, wysoki, tajemniczy Lord Darley. Zmięszany, zapomniawszy języka w uściech, stał Chopin jak wryty, wpatrując się w posągowe, nie-

ruchome, zimne rysy i szare oczy Anglika, jak w Meduzy głowę.

Ten przyjął go z wyszukaną grzecznością człowieka obyłego na wielkim świecie i rzekł uprzejmie:

— Witam pana serdecznie!

Artysta ochłonął ze zdumienia.

— Co u licha! rzekł unosząc się, to pan mi gwałt zadajesz i tu mnie przywieźć kazałeś!

— Tak jest, Sir! odpowiedział Lord Darley chłodno i uprzejmie; spodziewam się, że pan na tém źle nie wyszedłeś. Widzę przynajmniéj, że wieczerza, którą miałem zaszczyt pana u siebie przyjąć, nie była panu niedosmaku.

— O, gdybym był przeczuł, rzekł Chopin zakłopotany, że ja . . . że to pan byłeś, który . . .

— Ależ proszę pana, wznieśmy się nad te drobnostki! przerwał mu Anglik. Potém wskazując fotel, przysunął krzesło do stołu i tak daléj prawił:

— Czy pan nie zechcesz usiąść? Wszakże to, o co się dziś ze sobą mamy umówić, wygodnie przy kieliszku wina załatwić możemy. Czy pan rozkażesz szampana?

— Nie chcę szampana, Mylordzie! zawołał Chopin z gniewem. Nie usiądę i nic tu nie mam z panem do załatwienia. Żądam, byś mię pan natychmiast odesłał

do Paryża, i mocno przy tém obstaję, byś niezwłocznie swemu stangretowi rozkazał odwieźć mię do miasta.

Anglik pozostał chłodno grzecznym.

— Pan obstajesz przy tém, by wrócić! rzekł sucho. Ja obstaję przy tém, byś pozostał. Chodzi teraz o to, kto z nas obu ma siłę przywiedzenia swéj woli do skutku. Czy wieczerza panu nie smakowała?

— Nie przeczę temu, była . . . lecz. . .

— Czy ten salon nie wykwintny i niewygodny?

— Jest bardzo wytworny, przecież. . .

— Drzwi, które tu obok widzisz, wiodą do wygodnéj sypialni — splendidly and confortably furnished — well. Znajdziesz się pan tutaj jak w własnym domu i z chęcią pozostaniesz!

— Nie mogę przyjąć pańskiéj ofiary, Mylordzie, boś mi się z swą gościnnością dziwnie narzucił. Nie chcę, nie mogę korzystać z pobytu w pańskim domu, bo moi domownicy byliby o mnie niespokojni.

— Never mind! To mnie mało obchodzi! Pozostaniesz pan tu nie tylko tę noc, ale tyle dni i nocy, dopóki pod jego przewodem nie nauczę się grać pańskiéj ballady G-mol, opus 23 z taką ekspresyą i precyzyą i z takiém wykończeniem, jak pan ją grywasz.

— Wielki Boże! zawołał Chopin pobladły; czyż nic pana odwieść nie zdoła od jego urojenia?

— Nigdy zamiaru raz powziętego nie cofam; nic mnie powstrzymać nie zdoła w uskutecznieniu tego, com sobie raz mocno przedsięwziął. Zresztą nie lękaj się pan, panie Chopin; nie jestem maniakiem i nie mam ani źdźbła usposobienia do splinu. Celem uspokojenia pana względem stanu mego umysłu odwołam się do tego, com panu już raz oświadczył w salonie hrabiny d'Agoult. Pan niezawodnie znasz lady Ofelię Stanton, wdowę po baronecie Johnie Stanton of Olderly-Castle, zmarłym przed niespełna rokiem. Jest ona namiętną wielbicielką kompozycyi pańskich i . . .

— Rzeczywiście sobie przypominam, żem lady Stanton u księżnéj Adamowéj Czartoryskiéj na wieczorkach widywał.

— Very-well! Od kilku miesięcy staram się o rękę nadobnéj Ofelii, ale długo nadaremnie o stanowczą odpowiedź błagałem. Po długich, usilnych prośbach, by się zechciała do mych życzeń przychylić, rzekła nareszcie z uśmiechem: „Dobrze, zostanę żoną pańską, ale pod jednym warunkiem, któremu pan koniecznie poddać się winieneś. Oto daj mi dowód, dowód jasny jak słońce, stałości i przywiązania swego.“ „„Cóż to takiego? O co chodzi?““ zapytałem. Wtedy oświadczyła mi: „Przepadam za muzyką Fryderyka Chopina. Chódź pan na koncerta, które daje; przysłuchaj mu się pan uważnie. Jeźli się panu uda jakąkolwiek z jego kompozycyi wygrać z takiém, jak on, uczuciem i wykończeniem, wtedy oddam panu rękę, ale nie rychléj.“ Dobrze; otóż pilnie uczęszczałem, Sir, na twoje koncerta. . .

— Ah, teraz pojmuję! jęknął Chopin.

— Lady Ofelia była przed tygodniem na koncercie przez pana danym na cel dobroczynny — mówił daléj lord Darley. Po koncercie podałem jéj program, pytając: „Czegoż mam się nauczyć?“ Ze śmiechem wskazała mi palcem baladę G-mol, opus 23, mówiąc: „„Tego oto!““ Teraz pan widzisz, Mister Chopin, iż, jeżeli się nie mam na wieki wyrzec jedynego szczęścia, o którém marzę na tym świecie, wszelkich winienem dołożyć starań, aby pańską baladę G-mol, opus. . .

— Ależ Mylordzie! przerwał Chopin, wahając się między wybuchem pustego śmiechu i uniesieniem gniewu — czyż pan nie widzisz, iż lady Ofelia z niego sobie po prostu zadrwiła czyli raczéj, że mu chciała dać sub rosa koszyk jak najkompletniejszy? Wiedząc niewątpliwie, że pan nie jesteś muzykalnym, zażądała od pana rzeczy niepodobnéj!

— Jużem panu przed kilku godzinami oświadczył, że wyrazu „niepodobieństwo“ nie ma w mym słowniku. Niepodobieństwo pan uczynisz podobném. Dołożysz wszelkich starań, aby . . .

— A niechże mnie ręka Boska broni!

— Pan tu pozostaniesz. Ten salon przypiera do mojego. Przed tygodniem kazałem w nim umieścić przepyszne piano Pleyela...

— Adieu, Mylordzie! Choćbym miał pieszo do Paryża wracać, to...

Nie dokończył Chopin, poszukał szybko kapelusza i chciał spiesznie odejść.

Lord Darley przystąpił do niego i rzekł:

— Nie puszczam pana, Sir, jesteś więźniem moim!

— Pan się nie poważysz mnie tu zatrzymywać mimo woli mojéj! odezwał się młody artysta głosem podniesionym i od gniewu drżącym.

Anglik zbliżył się z miną posępną i lodowatą i odrzekł:

— Owszem! Złamanego szeląga nie daję za życie pańskie, mister Chopin, jeśli się daléj wzbraniać będziesz spełnić me życzenie. Jesteśmy tu na wsi, willa ta leży na osobności, zdala od innych mieszkań, otoczenie moje składa się z ludzi duszą i ciałem mi oddanych, spełniających me rozkazy ślepo. Jeśli pokusisz się o ucieczkę, zgubisz się tylko daremnie, bo dom i ogród pilnie strzeżony. Nie puszczę pana, póki mnie swéj ballady G-mol...

— Ale uczniowie moi! wołał Chopin z rozpaczą.

— Never mind.

— To pozwól mi pan przynajmniéj kilka słów do Paryża napisać, abym moją nieobecność...

— Oho! Chciałbyś pan, ażeby mi policya wsiadła na skórę! Nic z tego nie będzie!

— Wtedy pomyślą, że...

— Never mind!

Chopin, blady z wewnętrznego wzruszenia, potoczył się na blizki fotel i jakby piorunem rażony bezwładnie nań upadł.

— Wszystkiego, czego tylko dusza twoja zapragnie, będziesz miał poddostatkiem, mój panie! Ale mi nie marz o wolności! rzekł Anglik obojętnie po krótkiéj przerwie. Sądzę, że po kilku tygodniach lub miesiącach osiągniemy cel usiłowań naszych, a wtedy zostaniesz sowicie wynagrodzonym i odzyskasz wolność. Mam niepłonną nadzieję, że ostatecznie rozstaniemy się najlepszymi przyjaciołmi. Dobra noc!

Lord Darley pożegnał jak najgrzeczniéj biednego, osłupiałego artystę i wyszedł bocznemi drzwiami z komnaty. Chopin w bezsilnym gniewie z całéj duszy mu złorzeczył.

Zaledwie lord zniknął, weszła lokajów para, by ze stołów sprzątnąć. Jeden z nich otworzył drzwi sypialni i zapytał jeńca, czy go ma rozebrać. Biedny artysta mechanicznie potrząsnął głową; służba z uszanowaniem się cofnęła.

Pozostawszy sam, uspokoił się Chopin cokolwiek. Powstał, przystąpił do okna i w półświetle jasnéj, gwiaździstéj nocy rozpatrywał się po okolicach willi, by się cokolwiek zoryentować, dokąd go przywieziono. Ale widział tylko ogród z gęstemi szpalerami drzew wysokich i rozłożystych, które wszelki widok tamowały. Spostrzegł zarazem, że jest na pierwszém piętrze domku wiejskiego i że skok z okna mógłby dlań być wielce niebezpiecznym. Wreszcie, cóżby mu takie pokuszenie o ucieczkę pomogło po oświadczeniu, że cały ogród zostaje pod pilną strażą?

Zniechęcony obejrzał po kolei wszystkie drzwi salonu, prócz prowadzących do sypialni, ale przekonał się, że starannie na klucz pozamykane.

Nerwy jego były w ostatnim stopniu rozstroju, rozpacz go ogarnęła i gorzko płakać począł. Te wysiłki, to znużenie, sprowadziły wreszcie sen tak mu potrzebny.

Gdy następnego dnia dość późno się ocknął, sam się sobie nie mógł nadziwić. Krew w jego żyłach znacznie się uspokoiła, miał się nawet stósunkowo dość dobrze. Wyśmienite śniadanie, które mu przyniesiono, przewybornie mu smakowało.

Począł się zastanawiać; — w końcu powiedział sobie, że snać najlepiéj będzie poddać się losowi, którego uniknąć nie podobna. Cóżby mu pomódz miało opierać się żelaznéj Anglika woli! Wielką dlań pociechą

była pewność, że lord nie jest maniakiem. Ale o zadośćuczynieniu wymaganiom przez niego jasno wypowiedzianym bez dreszczów pomyśleć nie mógł.

Lord Darley odwiedził go i okazał się uprzedzająco grzecznym i miłym; oświadczył artyście, że ten dzień przeznacza mu na wypoczynek. Lubo Chopin wszelkie miał powody do znienawidzenia swego gospodarza, mimowolnie przyznać musiał, że Anglik, który przez cały dzień towarzystwa mu dotrzymywał, jest człowiekiem wysoko i wielostronnie wykształconym, że rozmowa z nim jest zajmującą i powabu pełną i że posiada przymioty i zalety, któreby w innych okolicznościach przestawanie z nim robiły nader przyjemném i wielce pożądaném.

Następnego dnia Chopin rad nie rad w duszy przyznać musiał, że lord go mimowolnie zajął; począł sobie nawet robić wyrzuty, że był względem niego uprzedzonym i niesprawiedliwym. Wzięcie Anglika było pełne tak wykwintnéj delikatności i uprzejmości, iż wieszcz nasz nareszcie pogodził się z swym losem.

Potém obaj przystąpili do pracy, pracy ciężkiéj i mozolnéj, prawdziwego zaciągu dla nauczyciela.

Któż z lubowników i wielbicieli Chopina nie zna balady w mowie będącéj? Żadna z balad późniejszych,

jakkolwiek wysokie ich zalety i niezaprzeczona wartość poetycka, nie dorównywa temu arcydziełu ni podniosłością uczucia, ni wspaniałością wdzięku, ni potęgą natchnienia. Ona wraz z pierwszém i trzeciém scherzem, etudami, kilku polonezami i różnobarwnym bukietem mazurów naznacza Chopinowi miejsce pomiędzy najcelniejszymi bardami wszystkich wieków i narodów.

Po krótkim recytatywie i dłuższéj fermacie na tonie b rozpoczyna się główny motyw poematu, usnuty z przeciągłych półnót przedłużonych, z wtórem ripienowych akordów, jakby akompaniament arfy przypominającym.

Nie znamy, nie słyszeliśmy w arcydziełach najznakomitszych kompozytorów nic, coby sprostało rzewnéj prostocie, szczytnemu liryzmowi tego pienia tkliwego. Ale wkrótce pełen rezygnacyi smutek przechodzi w rytm i ruch żywszy, tony jaskrawsze, koloryt namiętniejszy. Poczynają huczeć i szaleć potęgi w głębi duszy drzemiące; w niepowstrzymanym zapędzie passaże z łamanych akordów utworzone to w górę strzelają, to nurzają się w najgłębszych toniach tastatury. Ale wieszcz-poeta umie zakląć niesforne duchy. Zręcznym, mistrzowskim rzutem wiedzie on nas przez ton majorowy b do drugiego tematu z es-dur, uroczego śpiewu festonami łamanych akordów oplecionego. Kontury téj melodyi są tak idealne i czyste, śpiew tak nadziemsko piękny, że nie

ma znawcy i lubownika muzyki, któryby po jednorazowém słyszeniu na zawsze jéj nie zachował w pamięci. Te dwa motywa stanowią niejako główne tło i ekspozycyą zachwycającego poematu. Przeplecione epizodami olśniewającéj piękności oba się kolejno odzywają w różnych tonacyach i z różnym akompaniamentem. Pierwszego melodya powtarza się w zdwojeniu przez oktawę (A-mol), motyw drugiego grzmi, jak hymn zwycięzki i tryumfalny wśród wtóru wspaniałych, pełnobrzmiących akordów. I znów zmienia się scenerya. Znów nas mistrz-czarodziéj wiedzie na błonia wonnemi kwiatami zasłane, w uroczą krainę marzeń i zachwytów (epizod es-dur), zkąd niezadługo stęskniony wraca do drugiego motywu, urozmaiconego układem i towarzyszeniem. Powtórzenie naczelnego tematu prowadzi nas do kody czyli zakończenia (takt 4/4), w którym potęguje i podnosi szał namiętny do diapazonu. Skale przebiegające w niepowstrzymanym zapędzie raz unisono w oktawie, drugi raz w odstępie decymy całą tastaturę, przerywane urywkami recitatiwu i tajemniczemi dźwiękami trójbrzmiennego akordu w różnych jego przekładniach, wreszcie lawina chromatycznych oktaw z początku w przeciwległym, w końcu w unisonowym spadających ruchu tworzy arcydramatyczne, do żywego przejmujące zakończenie niezrównanego, pełnego życia i najróżnorodniejszych efektów utworu.

Ale po cóż się silić na opis tego, czego opisać nie

podobna! Niech się nie sroma język przyznać do nieudolności i niemocy tam, gdzie słowa czczym dźwiękiem, a uczucie wszystkiém! Wieszcz chyba tylko wieszcza być godzien tłumaczem, a gdzie siła mowy ustaje, tam się rozpoczyna potęga muzyki.

Przepraszając za mimowolne zboczenie, wracamy do przerwanego wątku opowiadania.

Wielki artysta z góry się pożegnał z myślą obznajomienia swego ucznia z systemem nót. Metoda jego polegała raczéj na mechaniczném układaniu sztywnych i nieruchawych palców lorda do uderzeń w każdym takcie przepisanych. Nauka ta była istną męczarnią dla genialnego kompozytora, gdy tymczasem lord z prawdziwym stoicyzmem, z niewyczerpaną, niezachwianą wytrwałością, z cierpliwością baranka wszystkie trudy i mozoły przełamywał.

Tak ubiegał dzień po dniu. Jeśli Chopinowi w niewoli jego coś mogło przynieść ulgę i osłodę, to myśl i wzgląd na to, że wykształcony i genialny Anglik jest jego współwięźniem. Krom tego artysta widział się otoczonym jak największemi wygodami. Uprzedzano, odgadywano jego życzenia, jadał jak Lukull jaki, pił tylko szampana, pozostawał nawet w styczności z świa-

tem zewnętrznym o tyle, że mu przynoszono najrozmaitsze dzienniki i czasopisma nie tylko francuskie ale i polskie. Pewnego dnia wyczytał z nich z bolesnym uśmiechem, że słynny artysta Chopin, przychylając się do uprzejmego zaproszenia lorda Darley, zapalonego lubownika sztuk nadobnych, wyjechał z nim do dóbr jego w Anglii, aby tam w zaciszu wiejskiém oddać się bez przeszkody i roztargnienia kompozycyi. — Przebiegły lord kazał z umysłu tę wiadomość rozpowszechnić przez gazety, aby zmylić trop i udaremnić poszukiwania stęsknionych za wieszczem znajomych i przyjaciół. Zakomunikował także to samo właścicielowi kamienicy, w któréj Chopin najmem mieszkał, a lokaj artysty bez wahania wydał mu potrzebną garderobę i bieliznę na proste zaręczenie wyspiarza, że Chopin go do żądania takowéj wyraźnie upoważnił.

Mimo zbytku i dostatków, któremi był otoczony, mimo przyjemności i rozkoszy, jakiéj w rozmowie z swym dręczycielem doznawał, Chopin niejednokrotnie był bliskim rozpaczy, skoro się lekcya rozpoczynała, i wtedy wołał głosem tragiczno-patetycznym:

— Ach, zmiłuj się, mylordzie, zaniechaj dalszych udręczeń i w łeb mi palnij!

— Never mind! Zwyciężymy w końcu! odpowiadał srogi i nielitościwy tyran.

Ubiegły dwa miesiące. Skutkiem niesłychanych starań i anielskiéj rezygnacyi Chopin tyle już był dokazał, że niestrudzony jego uczeń, naturalnie bez wszelkiéj nót znajomości, pierwszą część ballady aż do owego miejsca o ruchu żywszym z passażami łamanych akkordów, a zatém około półtory strony, wykonać umiał, i to mało co gorzéj od swego mistrza; ale ani rusz daléj.

Już nadszedł mroźny grudzień. Wtém lord dla jakiéjś nagłéj, zwłoki niecierpiącéj sprawy do Paryża wyjechać musiał. Nieobecność jego dwa dni potrwać miała. Wyjeżdżając, surowo lokajom przykazał, by więźnia z oka nie spuszczali.

Tego samego poranka, może w godzinę po wyjeździe Anglika stanął Chopin w oknie salonu i smętnie spoglądał na ogołocone z liścia konary i krzewy parku, który teraz wyglądał smutno i posępnie, zwłaszcza że czas był niepogodny a niebo pokryte szaremi obłokami.

Nieukojona do przyjaciół i wesołego Paryża tęsknota odezwała się w sercu artysty i srogie mu sprawiała udręczenia i katusze.

I gdy tak patrzy na wyżwirowane ścieżki parku, ujrzał nagle panienkę w żałobnym ubiorze, która tylnemi drzwiami pałacyku wyszła była do ogrodu.

Radosny zadziwienia okrzyk mimowolnie wyrwał się z piersi jego. Wydało mu się, iż dorodna i wiotka dziewica, należąca prawdopodobnie do dworu Anglika, jest wychowanką biednego Gomisa.

Szybko ale ostrożnie uchylił okno i przekonawszy się, że prócz dziewczęcia nikogo nie ma w ogrodzie, krótko ale wyraźnie psyknął.

Dziewczę natychmiast w górę spojrzało i na widok artysty wielkie okazało zdziwienie.

— To ona! pomyślał Chopin rozradowany. Poczém szepnął schyliwszy się:

— Ocal mnie pani!

Dziewczyna ostrzegawczo palec do ust przyłożywszy, zwróciła się natychmiast i z miną na pozór obojętną weszła do parteru willi. Chopin zaś okno zamknął i szybko na środek pokoju postąpił, bo słyszał na kurytarzu odmierzony krok lokajskiego patrolu tam i sam chodzącego.

Od chwili przybycia nie było wolno Chopinowi ani na chwilę zejść z pierwszego piętra. Z domowników tylko ci, co służbę przy nim pełnili, zostawali z nim w styczności. Nie wiedział przeto, że między nimi są kobiety. Zapewne im wzbronioném było zwiedzanie ogrodu, odkąd więzień zamieszkał był w willi, bo nigdy nikogo prócz ogrodnika i stróża dotychczas w nim nie dostrzegł.

Nie silił się Chopin odgadnąć, jakim trafem piękna wychowanka obłąkanego Hiszpana, o któréj w czasie

swéj niewoli niejednokrotnie był pomyślał, do willi się dostała i co ją tu sprowadziło. Zadawał sobie jedynie to pytanie, czy mu będzie mogła dopomódz i jak tego dokaże.

Przyniesiono mu drugie śniadanie. Nie zdradził na chwilę swego wzruszenia, lecz udał obojętność i dziękował niebu, gdy lokaje odeszli. Szczęściem to było dla niego, albowiem gdy chleb rozkrajał, znalazł w ośródce zręcznie wsuniętą karteczkę a na niéj te słowa: „Udaj pan chorego a może będę mogła dostać się do niego. Resztę późniéj! Paquita Gomis.“

Zniszczył Chopin karteczkę i usłuchał rady panienki. Pociągnął silnie za pas do dzwonka, słudzy natychmiast przybiegli i zastali młodego artystę w silnych kurczach,

Sądny dzień był w pałacyku, bo wszyscy wiedzieli. jak wysoko lord ceni swego uwięzionego metra. Niezwłocznie przeto pacyenta zaniesiono do sypialni i łamano sobie głowę, jak mu najprędzéj przynieść ulgę w cierpieniu. Radzono lekarstwa domowe a ponieważ kobiety w takich razach najlepiéj poradzić umieją, nie sprzeciwiono się, gdy młoda, co dopiéro przyjęta zarządczyni lorda oświadczyła, że o chorym pilne mieć będzie staranie, zwłaszcza że leczenie kurczów nie jest dla niéj wcale nowością. Podano jéj z domowéj lorda apteczki różne krople i esencye, by z niemi poszła do chorego, który w całkowitém ubraniu leżał na sofie.

W kilka minut Chopin z Paquitą sam na sam pozostał. Dziewczę służbę odprawiło pod pozorem, że choremu nadewszystko potrzeba spokojności.

— Czy nam nic nie przeszkadza? zapytał młody artysta powstając.

— Wszyscy wyszli, panie Chopin! odpowiedziała dziewica zapłoniona. Ale na Boga proszę pana, bądź pan spokojny i mów jak najciszéj!

— Zkądże pani wiesz, jak się nazywam?

— Pan Berlioz, któremu, jak panu, dozgonną jestem winna wdzięczność, powiedział mi jego nazwisko. Jestem pańską dłużniczką.

— Ani słowa o tém, moja pani! Było to naszą powinnością. Cóż w tém dziwnego, że artysta wspiera artystę? Ale jakże się stryjowi wiedzie?

— Widzisz pan przecież, że noszę po nim żałobę!

— Mój Boże! przestał więc cierpieć nieborak! Serdecznie panią żałuję! Strata, jaką pani poniosłaś, zniewoliła ją pewnie tutaj... Albo też może ta przez lorda Darley najęta willa należała do jéj stryja?

— O nie, mój panie! mieszkaliśmy skromnie w pobliskiéj wiosce!

— A! przypominam sobie. Mówiłaś pani, że w Bagneux, po za baryerą d'Enfer. Jesteśmy więc tutaj...

— W Chatillon; ta willa należy do terytoryum wiejskiego, lubo leży na uboczu o kilka set kroków ode

wsi. Po zgonie stryja musiałam się wyprowadzić z Bagneux, a ponieważ się właśnie zdarzyło, że lord Darley odprawił swą dotychczasową zarządczynię...

— Ach, teraz rozumiem! Jak dawno pani tu bawisz?

— Od trzech dni dopiéro.

— Cóż pani o mnie mówiono, skoroś to miejsce przyjęła?

— Anim się domyśliła pańskiéj bytności tutaj! Wmówiono we mnie, że lord każe strzedz na pierwszém piętrze swego krewnego, który cierpi pomięszanie zmysłów...

— O zgrozo! Otóż wiedz pani, że mnie napadnięto, tutaj dostawiono i że mnie w niewoli trzymają.

— Co za barbarzyństwo! Pana? To nie podobne do wiary. W saméj rzeczy to, coś mi pan z okna powiedział...

— Ależ posłuchaj mnie pani!

Tu Chopin struchlałéj Paquicie opowiedział cały przebieg sprawy i skreślił w żywych barwach swe rozpaczliwe położenie.

Paquita nieco się zamyśliła. Potém rzekła stanowczo:

— Ot tak będzie najlepiéj. Mam jeszcze dziś kilka sprawunków na wsi, mogę więc bez podejrzenia wyjść z pałacyku. Udam się bezzwłocznie do wójta, do pierwszego lepszego żandarma, a jeśli ci nie będą chcieli

wdać się w tę sprawę, wyprawię gońca do paryzkiéj policyi...

— Na rany Boskie, tego pani nie rób! przerwał Chopin żywo. Zaiste lord względem mnie ciężko zawinił. Pozbawił mnie osobistéj wolności. Ale gdybyś pani wiedziała, jak mi się starał tę niewolę osłodzić, jak grzecznym i delikatnym był dla mnie, jaką szlachetnością umiał naznaczyć swe postępowanie ze mną, bylem go tylko nie przyprawił o kolizye, mogące nieprzyjemne nań skutki sprowadzić! Wreszcie przyznam się pani, lękam się plotek paryzkich. Nie życzę sobie sprawy mojéj wystrychnąć na cause célèbre, nie chcę, by się nią publiczność zajmowała! Za nic w świecie! Muszę się wydostać na wolność, ale bez hałasu, bez rozgłosu, a skoro się znów w Paryżu pokażę, sam to potwierdzę, co gazety przed dwoma miesiącami o mnie rozgłosiły.

— Ależ w takim razie doprawdy trudno mi odgadnąć, panie Chopin, jak...? Ha, teraz już wiem!

— Cóż?

— Lord ma dwa dni w Paryżu zabawić. Kamerdyner jego Johnson zwierzył mi się, że pan jego na ten czas zamieszkał w domu Nr. 14 przy ulicy Chaussée d'Antin. Napisz pan kilka słów do pana Berlioza, którego adres niezawodnie ci wiadomy, opisz mu całą swą biedę i poproś go, aby natychmiast po otrzymaniu

pisma pańskiego pobiegł do mieszkania lorda Darley i rozmówił się z nim nie żartem...

— Wyśmienicie! Berlioz jest jedynym do tego!

— Lord, przyparty do ściany, zagrożony wdaniem się policyi, musi pana na wolność wypuścić. Już to pan Berlioz wszystkiém ślicznie pokieruje.

— Niezawodnie. Natychmiast siadam i piszę.

— Ja pański list natychmiast przez umyślnego do miasta wyprawię; na każdy przypadek dla ostrożności z poblizkiego Bagneux.

— Tak, tak, przez umyślnego. Oto tu dla niego kilka...

Promieniejący radością artysta sięgnął ręką do kieszeni, ale gołą rękę z niéj wyciągnął.

— Biada mi, zapomniałem, że... — rzekł z uśmiechem kłopotliwym. — Ale to nic nie szkodzi, postnumerando sowicie go wynagrodzę.

Lica Paquity zakwitły wstydu rumieńcem. Utkwiła śliczne oczy w ziemi.

— Nie potrzeba, panie Chopin — wyszeptała — list zaniesie mój narzeczony sam.

— Co? pani masz narzeczonego? — zawołał Chopin zdumiony i rozczarowany z lekkiém westchnieniem.

— Od czterech tygodni. Mieszka on w Bagneux, ma cokolwiek grosza, w przyszłym roku zamierza osiąść w Paryżu, wtedy się pobierzemy.

— Jakże mógł na to zezwolić, abyś pani tymczasem... w służbę poszła?

Paquita spojrzała na Chopina z wyrazem zdziwienia.

— Czyżby dla mnie zaszczytniéj było zezwolić na to, by mnie mój narzeczony utrzymywał? — zauważyła spokojnie.

— Lepszą cząstkę pani obrałaś — odpowiedział Chopin skwapliwie. — Zaprawdę, to, co pani zaszczyt przynosi, jest i dla mnie szczęśliwém zdarzeniem, bo gdyby jéj tu nie było, czyżbym się wydostał na wolność? Gdybyś pani jednak miała za ofiarowaną mi pomoc stracić miejsce, w takim razie...

— Znajdzie się inne. Któż się zresztą domyśli, że ja panu byłam pomocną? — rzekła Paquita z uśmiechem, poczém niezwłocznie dodała: — Pan Berlioz z pewnością o tém nikomu słowa nie powie. Ale spiesz pan, pisz jak najprędzéj i wypraw mnie, zanim stroskana służba powróci, by się dowiedzieć o jego zdrowiu.

Chopin pobiegł do biórka, zaopatrzonego w materyały piśmienne. Usiadł i w chwil kilka karteczkę do Berlioza napisał, zaadresował i wręczył Paquicie, która ją starannie ukryła.

— Jakże mam méj pięknéj wybawicielce podziękować? — rzekł z rozrzewnieniem, dziewczęciu rękę podając.

— Najprostszym w świecie sposobem. Oto, uspokój pan jak najprędzéj wystraszonych z duszy domowników i oświadcz im, że ci się znacznie polepszyło! — rzekła Paquita, idąc ku drzwiom i znikła.

Chopin westchnął, gdy wyszła.

— Ma narzeczonego! — pomyślał sobie! — I ten wypadek jest zapewne skutkiem nieszczęsnéj niewoli mojéj!

Wkrótce atoli (takie było wieszcza usposobienie) sam się z téj sentymentalnéj tirady do rozpuku śmiać począł. Nic łatwiejszego dla ludzi natury sangwinicznéj jak przeskok od najgłębszego, nieutulonego smutku do najżywszéj radości; raz im się rzeczy przedstawiają w posępnych barwach zwątpienia i rozpaczy, drugi raz w różowych kolorach nadziei. Myśl, że niedługo oswobodzonym zostanie z mąk, których go nabawiła miłość szlachetnego lorda do pięknéj lady Ofelii, ta myśl tak niewysłowioną przejęła młodego artystę radością, że nie miał miru i nie mógł usiedzieć na miejscu.

Lekki jak piórko, wesoły jak ptaszek, poskoczył do salonu Anglika, w którym dawał dotychczas fatalne owe lekcye i tam aż do samego południa, na przepysznym Pleyela instrumencie improwizował godzin kilka, a improwizacya jego tchnęła taką lubością i swobodą, tak była krotofilną i figlarną, że nikt za drzwiami stojący nie byłby się domyślił, iż improwizatorem jest Chopin.

Przyniesiono obiad. Zasiadłszy do stołu, jadł z takim apetytem, tak mu wszystko wybornie smakowało, że usługujący do stołu lokaje z radości i zdumienia przyjść do siebie nie mogli, a w końcu nieznacznie i filuternie na siebie mrugać zaczęli, jak gdyby powiedzieć chcieli:

— Co u licha! Zdaje się, że kurcze są silną podnietą apetytu!

Po południu atoli nadzieja jego słabnąć, czoło zasępiać się poczęło; nikt bowiem we willi się nie pokazał, by go wyswobodzić, choć już dobrze z pięć godzin upłynęło od czasu, jak się piękna Paquita ekspedycyi jego listu podjęła.

— Kto wie, co się z Berliozem stało! Może wyjechał, może mieszkania jego znaleźć nie mogą! — rzekł niecierpliwie i mocno zaniepokojony.

Już téż i zmierzchać poczęło. Więzień coraz bardziéj na duchu upadał i otuchę tracił, gdy wtém na dziedzińcu pałacyku coś zaturkotało i głośny trzask bicza przerwał jednostajne i głuche milczenie.

Czy to jakie złudzenie ucha? Ależ niepodobna, bo niebawem usłyszał, jak silnie i niecierpliwie dzwonić poczęto.

Chopin porwał się z fotelu, na którym dotychczas siedział, w posępnych pogrążony dumaniach.

Któż to przybył? Mógł to być ów tęskliwie oczekiwany wybawca, ale może téż i sam lord Darley z swéj

wycieczki niespodzianie powracał. Pełen zwątpienia już się skłaniał ku ostatniemu przypuszczeniu i zaczął w siebie wmawiać, że się plan Paquity nie udał.

Wtém doszły jego uszu jakieś głosy, słychać było szybkie bieganie najprzód po wschodach, potém na kurytarzu; z trzaskiem rozwarły się podwoje salonu, Hektor Berlioz ukazał się w progu i pobiegł ku Chopinowi z ramionami rozpostartemi do uścisku.

— O mój drogi, jedyny, nieoceniony Chopinie! — zawołał, całując z uniesieniem przyjaciela. — Jakże piekielnego Panu wypłatano figla! O, gdy sobie pomyślę, że to Pana właśnie spotkać musiało, który cierpisz na hipokondryą i nerwy i który dalibóg najmniéj jesteś zdolnym ulegać przymusowi...

Ale nagle przerwał, bo mimo najszczerszego współczucia od śmiechu powstrzymać się nie mógł.

— Śmiej się pan, pókiś zdrów! rzekł Chopin, w serdecznéj radości nie czując się wcale urażonym. Tego i tybyś nie wytrzymał! Ale czyż teraz przynajmniéj jestem wolny?

— A jakże! Pocóżbym tu przybył, jeśli nie po to, abym cię w tryumfie zawiózł do Paryża? Ale na honor (dodał, powoli rozglądając się po salonie), to więzienie wcale w mym guście. Co za rozkoszne, cacane gniazdeczko!... Żalbym mieć powinien do lorda Darley, że nie wpadł na szczęśliwy pomysł wykradzenia i wyrwania

mnie z mego domowego zamętu. O jakżebym mu za to był obowiązanym! Byłbym tu sobie, aż miło, pracował nad mym Benvenutem Cellinim! A nadewszystko byłbym wolnym od utrapionych wizyt mych wierzycieli! Teraz powiedz mi pan, czy pomieszczę w powozie stósy kompozycyi, któreś przez te dwa miesiące ułożył? Zapewneś tu napisał nieprzeliczoną moc mazurków, scherzów i etud?

— Nic a nic! zawołał Chopin z komiczną emfazą. Przez ośm tygodni, wystaw pan sobie, nie tknąłem fortepianu, wyjąwszy w celu układania palców memu dręczycielowi. Jakżebym był mógł przy męczarniach, które ponosiłem, wpaść na pomysł jakiś? Był to czas przeklęty, marnie stracony!

— Nie mów pan tego! odparł Berlioz, wyciągając bilecik i podając go przyjacielowi. Ciemięzca pański przysyła panu przezemnie ten oto bilecik, który zapewne nieco zatrze wspomnienie mąk przez pana przebytych.

— Czy trudna była z lordem przeprawa? zapytał ciekawie Chopin, zanim list rozpieczętował.

— Uchowaj Boże. Byłbyś i bez méj pomocy dziś lub jutro odzyskał wolność

— A to jak i przez kogo?

— Przez Anglika samego. Ale zacznę ab ovo. Skorom tylko odebrał pańskie pismo, pędem strzały po-

biegłem do jego mieszkania w mieście. Wchodzę, powiadają mi, że lord co tylko do lady Ofelii Stanton wyjechał i podano mi jéj adres. Co prędzéj pobiegłem za nim. Lady mnie natychmiast przyjęła i zastałem u niéj lorda. Oboje mi się jakoś wydali niezwykle ożywieni i rozradowani, jakby byli w siódmém niebie. Wymieniłem nazwisko pańskie. Już chciałem, jak nowy Bayard, śmiało i odważnie za pana kopię skruszyć, gdy lord (który zresztą uczynił na mnie wrażenie najkompletniejszego gentlemana) oświadczył mi z żywością, że stałość jego i nienaganne wygranie wstępu pańskiéj ballady G-mol opus 23 zdobyło mu serce i rękę jego bogdanki i że dla tego pana od dalszych lekcyi z wdzięcznością uwalnia.

— A niechże za to będzie Bogu cześć i chwała!

— Potém nakreślił słów kilka, które co dopiéro panu wręczyłem, i wygotował piśmienny mandat dla służby, aby go niezwłocznie na wolność puściła. Ale jakiś pan nieciekawy! Otwórzże przecież ten liścik!

Chopin usłuchał wezwania. Bilecik zawierał w sobie najczulsze podziękowanie i assygnacyą na 10,000 fr.

— Czym panu nie powiedział, zawołał Berlioz, iż przychodzę jako zwiastun pociechy za męki i katusze przebyte?

Chopin boleśnie się uśmiechnął.

— Słowo panu daję, że nie chciałbym ich powtórnie przebywać ani za miliony! stanowczo oświadczył. Potém dodał nieśmiało: Przyjacielu, wszakżeż część kwoty przez lorda ofiarowanéj przyjmiesz . . .

— Tegoby jeszcze potrzeba!

— Jako pożyczkę. Pozbędziesz się wierzycieli i będziesz miał spokój pożądany, by swemu Benvenuto Cellini wszystek swój czas i siły poświęcić!

— W takich warunkach z serdeczną wdzięcznością przyjmuję.

— Drugą część przeznaczam na wiano dla wychowanki biednego Gomisa, która z taką gotowością w pomoc mi przyszła. W dzień ślubu służyć jéj będziemy obaj za świadków, jeśli na to zezwoli — czy tak?

— Z miłą chęcią!

— Pozwól mi jeszcze raz na waletę ślicznéj Paquity rączkę uścisnąć, a potém — fouette cocher! Do Paryża. Dłużéj tu już nie wytrzymam, bo mi się pali pod nogami!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

U Moszelesa.

Do powyżéj opisanéj przygody Chopina, o któréj obaj przyjaciele najzupełniejsze zachowali milczenie, króciuchny należy epilog.

Wiadomo powszechnie, że po rewolucyi paryzkiéj r. 1848 Chopin, jakkolwiek co dopiéro z ciężkiéj niemocy powstały i na suchoty powoli dogorywający (umarł w roku następnym dnia 17 października), do Londynu pojechał, gdzie dał kilka koncertów, grywał w salonach najwyższéj arystokracyi i na pokojach księżnéj Sutherland królowéj Wiktoryi przedstawiony został.

Pewnego dnia czując chwilową ulgę w cierpieniach

poszedł w odwiedziny do dobrze znanego sobie Moszelesa*).

— Czy pan wiesz o tém, kochany panie Chopin, rzekł żartobliwie Moszeles w toku rozmowy, że mamy tu w Londynie pianistę dyletanta, znamienitego magnata, który jest niebezpiecznym dla pana współzawodnikiem? Był u mnie przed kilku tygodniami na wieczorze i grał pańską baladę G-mol. Ale biedak wydał mi się dziwakiem, na splin cierpiącym. Wykonał pierwszy ustęp pańskiéj kompozycyi aż do melizmu na septymowym akordzie tonu b-dur rozkwitającego doskonale i po mistrzowsku, poczém nagle urwał. Ni prośby, ni błagania nie mogły go zniewolić, aby grał daléj. Uparł się przy swojém i odszedł!

Oblicze Chopina długiém cierpieniem strawione przelotnym zajaśniało uśmiechem. Nie trudno mu było odgadnąć, że jego jenialnym, niebezpiecznym współzawodnikiem nie był kto inny, jak tylko znany nam lord Darley!

---

*) Umarł przed czterema laty jako dyrektor konserwatoryum muzycznego w Lipsku i w r. 1839 pospołu z Chopinem grał przed Ludwikiem Filipem i jego rodziną na pokojach królewskich w pałacu St. Cloud.

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.

Instytut Fryderyka Chopina Biblioteka

Spis Rozdziałów.

I. W restauracyi . . . . . 7 str.
II. W salonie . . . . . 37 „
III. We willi . . . . . 56 „
IV. U Moszelesa . . . . . 93 „

OMYŁKI DRUKARSKIE.

Strona	wiersz	zamiast	czytać
14	8	tego	jego.
19	19	po wyrazach: „czy to“	wtrącić „sprawił.“
28	17	wsztysko	wszystko.
34	23	do	od.
42	8	kwadrasik	kwadransik.
52	16	sceny	scenę
54	14	dmou	domu.
55	9	co	są.
„	„	są	co.
73	13	robiły	czyniły.
„	17	robić	czynić.

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

[Marceli Antoni Szulc]

PRZYGODA CHOPINA.

Opowiedział

WEDŁUG NIEMIECKIEGO ORYGINAŁU

„CHOPIN I UT



M. LEITG

